ROK III. Nr. 14 (114). Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. 5 kwietnia 1931 r.

7 DNI

CENA 50 GR

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



„MELODJĄ SZCZĘŚCIA" NIECHAJ WAM ROZBRZMIEWAJĄ ŚWIĘTA — TEGO WAM ŻYCZY W NASZEM IMIENIU JANETKA GAYNOR (Fox)

Męka Pańska i Zmartwychwstanie w Sztuce



Zmartwychwstanie, według L. Jou.



Męka Pańska, według Altdorfera.



Chrystus pod pręgierzem, według. Rembrandta.

Czytelnikom naszym życzymy Wesołych Świąt



Ludzie jaskiniowi

Dwadzieścia lat temu spędzałem święta wielkanocne w posiadłości francuskiej jednego z moich przyjaciół — w dolinie Loary. Pałac, datujący się z 13-go stulecia, oparty był niemal o skarpę góry, z którą nawet łączył się korytarzem, w skale bowiem, w naturalnej, jakby się zdawało, pieczarze, mieściły się kuchnie, przerobione z dawniejszej „Salle d'armes".

Oryginalny ten sposób mieszkania w jaskiniach, niczem ludzie z epoki przedhistorycznej, jest dość pospolity, zwłaszcza w dolinie Loary, gdzie kilka nawet wiosek gnieździ się po dziś dzień w pieczarach. Zwiedzałem jedną z nich, o kilkanaście kilometrów od Tours i zachwycony byłem pomysłowością, z jaką zdołano zaprowadzić w tych odwiecznych jaskiniach współczesne wygody — niemal komfort. Łatwo daje się utrzymywać domostwa te w czystości — istną plagę natomiast stanowią węże, których mnóstwo uwija się w lecie.

Podobne jaskinie, służące za mieszkania, spotykałem i w innych krajach — jak w Rumunji, w Grecji i w Rumunji, gdzie są również dość pospolitem zjawiskiem.

Jeśli już mowa o podobnych budowlach, wspomnę o niezmiernie oryginalnym kunsztyku, który podziwiałem swego czasu w wiosce Rothéneuf około St. Malo. Tu, nad samem

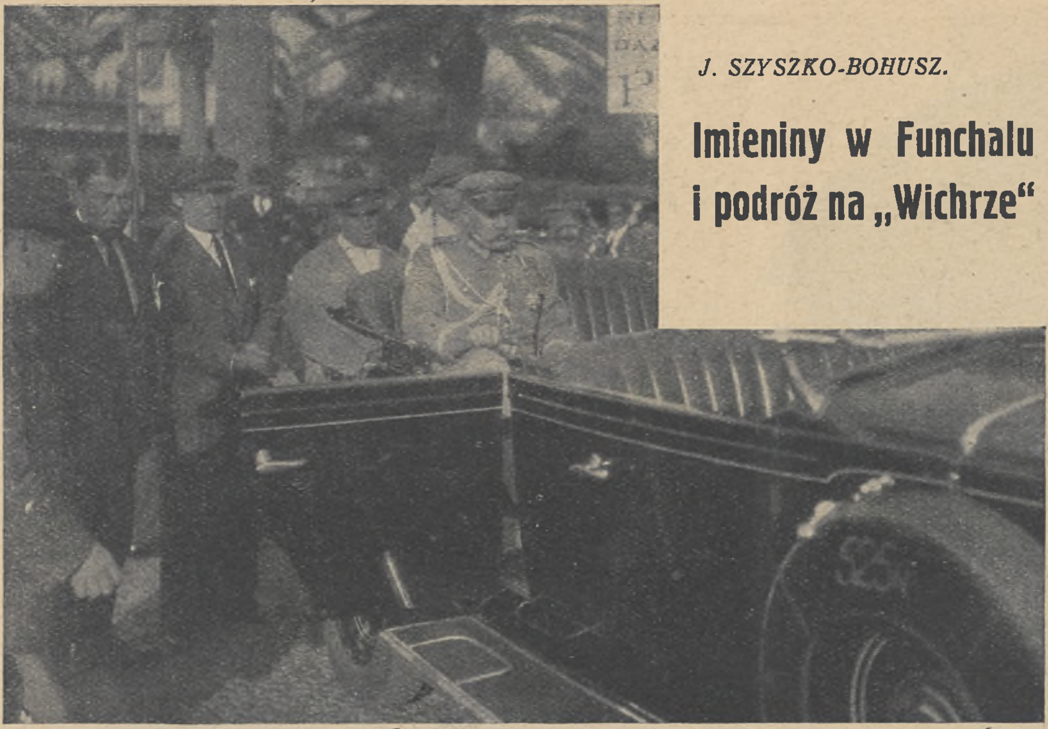




Ludzie jaskiniowi w XX-m wieku?... Okazuje się, że anomalja ta doskonale mogła przetrwać, obok drapaczów chmur, i we Francji, naprzykład, nad brzegami Loary całe wioski — domostwa i kościoły — gnieżdżą się w skarpach skalnych.

morzem, osiadł dziwaczny staruszek, jak się zdaje duchowny, który mieszkał wprawdzie w domku drewnianym, niczem nie różniącym się od innych. W pobliżu natomiast, na skalistej skarpie, staruszek wykuł mnóstwo jakichś fantastycznych figur, krużganków, wirydarzy, które budziły ogólny podziw licznych w tej okolicy turystów. Kuł całemi dniami, zimą i latem, z nikim nie zamieniał słowa — dziwny staruszek-pustelnik, który, pragnąc odgrodzić się od natrętnych wywiadów, wywiesił nad domkiem napis: *l'Ermitage de la Folie.*

O innej, nie mniej oryginalnej budowli, słyszałem z opowiadania i pokazywano mi jej fotografję. Przedstawiała ona „pałac" rozmiarów sporego dworka, w którym wszystkie style świata tworzyły przedziwną kakofonję. Podstawę, materjału, z którego cudaczny architekt wzniósł ten „pałac", stanowiły kamienie, różnej wielkości i gatunku, zcementowane razem, jedne gładkie, inne rzeźbione. Samorodnym budowniczym, któremu francuski departament Drome zawdzięczał to arcydzieło, był pensjonowany... listonosz. *(ri)*



J. SZYSZKO-BOHUSZ.

Imieniny w Funchalu i podróż na „Wichrze“

Pan Marszałek opuszcza Maderę, skąd, na pokładzie „Wichru“ udaje się do kraju.

— Marszałek Piłsudski w Warszawie!

Wiadomość ta zelektryzowała stolicę i podawana z ust do ust, wyzierająca wielkiemi, tytułowemi czcionkami ze szpalt porannych dzienników, stała się treścią dnia.

Czyż w takiej chwili może być dla dziennikarza zadanie pilniejsze i ważniejsze, jak — skoro z samym Marszałkiem Piłsudskim nie sposób jest zrobić wywiadu — nawiązać kontakt z człowiekiem, który od szeregu lat opiekując się jego zdrowiem, nie odstępował go ani na jeden dzień w czasie wypoczynku na Maderze.

Płk. dr. Woyczyński był tak uprzejmy, iż przyjął mnie już z samego rana nazajutrz po przyjeździe i przy śniadaniu udzielił niezwykle ciekawych informacyj o ostatnich dniach pobytu Marszałka Piłsudskiego na Maderze i o jego morskiej powrotnej podróży.

— Jak Marszałek Piłsudski spędził imieniny?

— Dzień ten niczem nie różnił się od innych. Marzec wypadł na Maderze fatalnie. Wprawdzie temperatura nie spadała poniżej 15°, ale szalały wichry i lały deszcze. 19 marca, jak i codzień w tym czasie, pogoda była fatalna.

Marszałek Piłsudski od rana pracował w zaciszu swego gabinetu. Potem przyszedł kpt. Lepecki, który zjadł z nami drugie śniadanie.

Zwykła pogawędka przeciągnęła się przez parę godzin. Rzecz znana, kiedy za oknami leje deszcz, rozmowa niepostrzeżenie przedłuża się, szczególnie, gdy rozmawia się z Marszałkiem Piłsudskim, który ma czarujący sposób opowiadania i w swej bogatej w przeżycia przeszłości — mnóstwo ciekawych tematów.

Wkońcu Marszałek Piłsudski powrócił do siebie na górę. Mnie zaś przypadło w udziale przyjęcie zarządzającego dóbr pewnej, pochodzącej z Madery, damy, która wyszła zamąż za Polaka i w dniu imienin pragnęła dać Marszałkowi Piłsudskiemu wyraz czci i hołdu, przysyłając kosz kwiatów i stare wina.

Wizyta gubernatora wyspy, przyjętego przez Marszałka na górze na krótkiej pogawędce, zakończyła skromny „ceremonjał“ imieninowy.

— Powinszowania z kraju?

— Zaczęły one napływać już 9—10 marca. Z pierwszą pocztą przyszły dwie pocztówki, jedna z nich od b. marszałka senatu, prof. Szymańskiego. Każda następna poczta, a okręty przywożą ją 3—4 razy na tydzień, była coraz obfitsza.

Za każdym razem zajeżdżało przed willę Marszałka Piłsudskiego pocztowe auto ciężarowe, z którego wyładowywano niezliczone worki korespondencji.

Początkowo przeglądałem ją, liczyłem i wybierałem ciekawsze listy dla przeczytania Marszałkowi. Kiedy jednak naliczyłem kilkaset tysięcy listów, a ciężarówka przywoziła wciąż nowe worki — dałem sobie spokój i machnąłem na to ręką.

Marszałek Piłsudski wchodził nieraz do pokoju, w którym przeglądałem korespondencję, zabierał niektóre listy i sam je czytał. Pozatem prosił, żeby dawać mu wszystkie listy, do których dołączone były fotografje dzieci. Wiele z nich przechowywał, nauczył się na pamięć, jak które dziecko się nazywa i skąd pochodzi. Paczkę kilkudziesięciu takich fotografij przywiózł ze sobą do Warszawy i zabrał do Belwederu, zapewne, by pokazać Wandzi i Jagódce. Wśród tych fotografij jedna, zdaje się z Zagłębia Dąbrowskiego, przedstawiała całą rodzinę, złożoną z niemałej czeredy... 13 dzieci!

Oczywiście, wśród powinszowań, obok setek tysięcy najzupełniej szablonowych, było dużo niebanalnych, które Marszałkowi Piłsudskiemu przypadły do gustu. Najbardziej jednak był on zadowolny z bezpretensjonalnych i prostych powinszowań dziecinnych.

Najlepiej zaś podobał się Marszałkowi Piłsudskiemu liścik jakiejś dziewczynki, która w sposób naiwny, życzyła po dziecinnemu: „żeby Pan Marszałek nie grymasił, jadł dużo bananów i był tłusty“.

Dziewczynce tej można donieść, że nietylko Marszałek Piłsudski był jej życzeniami zachwycony, ale — co rzadko zdarza się — spełniły się one w zupełności.

Marszałek bowiem „nie grymasił“, czuł się doskonale, wypoczął i nabrał sił.

Banany jadł z apetytem, wówczas gdy ananasy i pomarańcze, marne zresztą, nie bardzo mu smakowały.

Wreszcie — tłustym, wprawdzie, nie został, ale trochę przytył.



Willa w Funchal, w której Pan Marszałek spędził czas wypoczynku.



Przyjazd do Polski. Pan Marszałek, w towarzystwie córeczek, które wraz z p. Piłsudską wyjechały na spotkanie do Gdyni.

Dobrze było Marszałkowi Piłsudskiemu na Maderze.

Ostatnio jednak coraz bardziej rwał się do kraju. Z jednej strony dokuczała mu pogoda, z drugiej zaś, od młodości przyzwyczajony do wytężonej pracy bez wytchnienia, chciał już do niej powrócić.

— Ile prawdy było w doniesieniach o zamierzanej podróży do Egiptu, Palestyny i Italji?

— Wcale nie było o tem mowy. Namawiałem jedynie Marszałka Piłsudskiego, by dla uniknięcia zbyt radykalnej zmiany klimatu zatrzymał się gdzieś na jakiś tydzień. Ale nawet słyszeć o tem nie chciał.

„Na święta będę w Polsce“.

Skoro tak powiedział, inaczej być nie mogło.

Przed wyjazdem z Madery trzeba było pomyśleć o upominkach dla rodziny. Dziewczynkom postanowił Marszałek przywieźć ananasów i bananów. Gorzej było z dorosłymi.

Specjalnością Madery są wina, wyroby koszykarskie i hafty. Zatrzymaliśmy się więc na haftach.

Po długich poszukiwaniach znalazł Marszałek Piłsudski piękną, bajecznie kolorowo haftowaną serwetę i zdecydowawszy, że jest to wreszcie „coś charakterystycznie maderskiego“ — wziął dla żony.

Dla siebie kupił czcinowy leżak i charakterystyczne koszyki dla

siostrzenic — haftowane serwetki i chusteczki. Byliśmy już należycie wyekwipowani i tylko wyglądaliśmy, kiedy zawinie po nas „Wicher".

„Wicher" wreszcie zjawił się. Przeszedł jednak silną burzę w zatoce Biskajskiej, a ponieważ płytko się zanurza, więc strasznie go „przetrzepało" i oficerowie odradzali Marszałkowi Piłsudskiemu morską podróż. Rzecz prosta — bez skutku.

— Jak Marszałek Piłsudski znosił podróż?

— Znakomicie. Przedewszystkiem jednak — „zaczarował" morze — mówi z uśmiechem dr. Woyczyński.

— ???

— Kiedy, opuszczając Funchal, wyrażałem obawę co do pogody, Marszałek Piłsudski rzekł: „Nie bójcie się. Ja wam tak morze „zaczaruję", że wszystko będzie dobrze".

I dotrzymał słowa!

Biskajska zatoka, rzadko kiedy spokojna, tym razem była gładka, jakby kto wylał oliwę. La Manche i Morze Północne również było posłuszne „czarom" Marszałka Piłsudskiego.

Kiedy jednak minęliśmy kanał Kiloński, Marszałek Piłsudski żartobliwie oświadczył:

„No, dość już tego. Teraz przestaję wam „czarować" morze. Niech doktór troszeczkę pochoruje".

I — rzeczywiście — Bałtyk, jak spuszczony ze smyczy, przywitał nas dużą falą. W nocy zaś zaczęło „Wicher" rzucać na dobre.

Nazajutrz Marzałek Piłsudski wstał wcześniej, niż zwykle, przedemną jeszcze, co mu nigdy się nie zdarzało. Widać po nim było pewne znużenie.

— Jak płynął czas na „Wichrze"?

— Marszałek Piłsudski nie zmienił swego normalnego trybu życia. Narzekał jedynie na brak ruchu, bowiem na kontrtorpedowcu nie bardzo jest gdzie spacerować. Rozmawiając z oficerami Marszałek żywo interesował się sprawami morza i marynarki, kazał sobie szczegółowo pokazać wszystkie urządzenia okrętowe i t. d. Zaczytywał się pozatem w pożyczonem od jednego z oficerów angielskiem dziele o wojnie morskiej 1914—18 r.

Większość czasu spędzał na pokładzie, przyczem miałem z tem wielki kłopot, ponieważ nie chciał włożyć swetru i chodził stale tylko w kurtce, tej samej, co w Funchalu. Dopiero na Bałtyku włożył płaszcz.

— Panie doktorze, jeszcze pytanie, które ciśnie się dziś na usta miljonom Polaków — jak się Marszałek Piłsudski czuje i jak jest z jego zdrowiem?

— Odpoczynek na Maderze zrobił Marszałkowi Piłsudskiemu doskonale. Czuje się świetnie, wypoczął, nabrał humoru, jest pełen sił i energji. A jak rwie się do pracy, tego najlepszym dowodem jest fakt, że przyjechawszy do Warszawy o północy, zapowiedział, że od siódmej rano rozpoczyna pracę. Nie chciał więcej ani chwili odpoczynku. Wchodzi odrazu w sam wir wytężonej pracy. Przytem nikt przecie nie potrafi przewidzieć, kiedy znów uda się nam namówić go na odpoczynek.

Wyroby Państwowego Monopolu Spirytusowego otrzymały ostatnio najwyższe odznaczenia na wystawach międzynarodowych w Brukselli, Nicei i Liége.



„Wyborowa" eksportowa,
sprzedawana w coraz większych ilościach zagranicą, od wódki sprzedawanej w kraju, różni się tylko etykietą na butelce.

ROMAN SOBOLEWSKI.

Z Gwineji do Sudanu*)

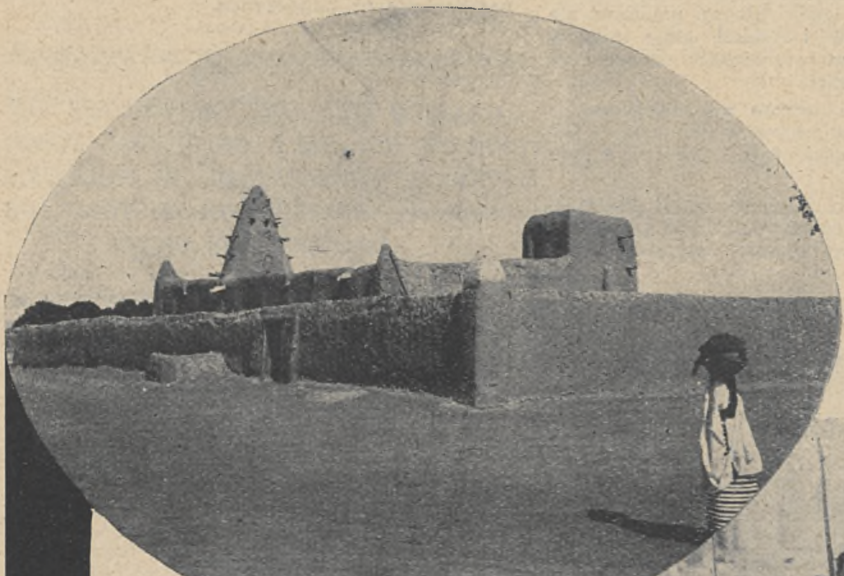
W SIGUIRI. TANIEC OGNIA.

Po środku wsi, na obszernym placu, zgromadziła się cała ludność, tworząc wielkie kolisko. Na przedzie zajęła miejsce starszyzna wioskowa — obok usadowili się muzykanci. W środku koła widnieją zarysy dwóch ogromnych stosów drzewa, przygotowanych do mającej się odbyć uroczystości. Czarni zachowują się hałaśliwie— słychać wesołe pokrzykiwania, głośne śmiechy, piski dzieci. Łagodny blask księżyca, z trudem przedzierający się przez gęste listowie drzew, oświetla niewyraźnie czarne sylwetki zebranych, i jedynie środek pustego narazie koliska, wraz z piętrzącemi się stosami, jest oblany jasnem światłem. Reszta ginie w półmroku.

Wtem słychać jakieś okrzyki, jakby rozkazy — cały plac zalega niespodziewanie głucha cisza, którą tylko zakłóca monotonne pomrukiwanie dwóch mistrzów ceremonji — wiekowych starców, odmawiających jakieś zaklęcia.



Bamako. — Pomnik ku czci poległych Sudańczyków podczas wojny światowej.





Pod stosy podkładają ogień — i po chwili migotliwy, czerwony blask dołącza się do światła księżyca, dobrze oświetlając zebrany tłum mężczyzn i kobiet. Odzywają się wszystkie bębny, cymbałki i trąby, rozpoczynając nadzwyczaj monotonną, lecz zarazem rytmiczną melodję.

Na środek występuje dwunastu wybranych tancerzy; na czele — dwuch starców-czarowników. Tańczący zaczynają się zwolna posuwać wzdłuż okręgu utworzonego koliska, postępując gęsiego, jeden za drugim. W takt muzyki przestępują ociężale z nogi na nogę, obracając się co parę kroków raz do zebranych, raz do płonących ognisk. Ciała ich kołyszą się leniwie z boku na bok, ręce zwisają swobodnie. Tempo muzyki staje się coraz szybsze, — tańczący coraz prędzej okrążają ogniska. Ruchy ich stają się z każdą chwilą gwałtowniejsze, ręce i nogi drgają niemal konwulsyjnie, z zaschniętych gardzieli wydobywają się niekiedy przytłumione, urywane okrzyki. Tłum widzów, podniecony widokiem tańca, uderza w dłonie, poklepuje się po udach; czasem któryś z bardziej zapalonych wybiega na środek, by dołączyć się do tańczących. Naokoło widać wykrzywione twarze czarnych, błyskają białka oczu, słychać półprzytomne krzyki mężczyzn, spazmatyczne piski kobiet — szał ogarnia wszystkich. Ogniska zwolna dogasają.

Nagle, jeden z tancerzy porywa płonącą żagiew i zaczyna się nią pocierać po nagich piersiach i plecach. Znajduje on wielu naśladowców, którzy, nie zważając na ból, zachęcani do tych dobrowolnych katuszy przez kapłanów-czarowników, prześcigają się wzajemnie w zadawaniu sobie co najwymyślniejszych cierpień.

Tłum murzynów, wyłamawszy się z koliska, połączył się z tańczącymi, rozdeptując ledwo żarzące się ogniska. W zapadłych na nowo ciemnościach kłębią się niesamowicie splątane ciała czarnych; w powietrzu czuć zapach spalonych włosów i przysmażonego ciała; słychać histeryczne śmiechy kobiet. Robi się niemal strasznie.

Plac zwolna pustoszeje — uczestnicy zabawy znikają w ciemnościach, poza gęstwiną drzew. „Taniec ognia" — skończony, by ustąpić miejsca zwykłemu finałowi podobnych uroczystości murzyńskich — powszechnej, dzikiej i rozpasanej orgji.

— — — — — — — — — — — —

Następnego dnia, wczesnym rankiem, opuszczamy Siguiri. Daje się odrazu odczuć zmianę temperatury: jest znacznie goręcej i duszniej, niż w Górnej Gwineji. Biały, oślepiający żar spływa z czystego nieba; powietrze tuż nad ziemią drga, jak nad rozpylonem ogniskiem. Krajobraz w niczem nie jest już podobny do pięknej, zielonej Gwineji — naokoło, jak okiem sięgnąć, suchy, zżarty przez słońce step, połyskujący miejscami jasnemi plamami piasku. — Mijane wsie murzyńskie mają również inny charakter: nie widać wysokich trzcinowych strzech — ustępują one miejsca niskim, szaro-brunatnym lepiankom, z płaskimi dachami. Odzienie mężczyzn i kobiet, naogół dorodniejszych, o jaśniejszem zabarwieniu skóry, — chyba jeszcze mniej wymyślne, niż w Gwineji: z reguły wystarcza wąska przepaska na biodrach.

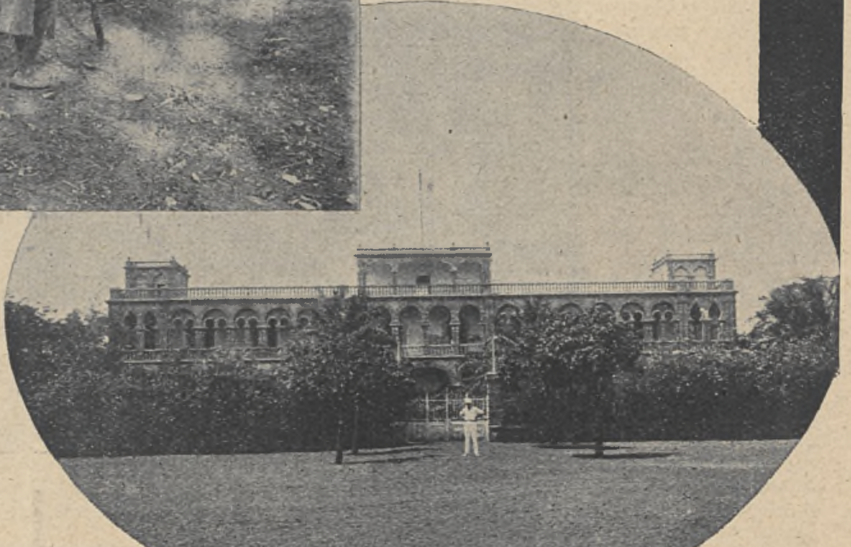
Już dobrze pod wieczór ukazują się nam zarysy wysokiego wzgórza, u stóp którego widnieje wielkie mrowisko domów i chat. Od czasu do czasu, z poza mijanych wzniesień terenu, błyska jasna wstęga Nigru. Wjeżdżamy na przedmieścia Bamako, szybko mijając wzorowo urządzone lotnisko i koszary strzelców sudańskich, kierując się do centrum miasta.

*) Część 1 patrz Nr. 11

Pałac dawnych władców Sudanu.

Próba do tańca ognia.

Pałac gubernatorski.



M. ZOSZCZENKO.

Szkoda człeka

Nareszcie ukazało się rozporządzenie co do pijących obywateli. Zmniejszono im nieco swobodę działania.

Dawniej, bywało, zachciało się wstawionemu przejechać się tramwajem — proszę bardzo, wyjeżdżaj sobie, bracie, odśwież się przejażdżką. Nie chce tramwajem, woli pociągiem — można i pociągiem.

Dawniej mieli do swoich usług wszelką lokomocję. Czem chcesz, tem wal.

No, a teraz wykończyli ich z tą jazdą. Wyszło rozporządzenie. Rozlepiono je we wszystkich tramwajach. Że niby pijanym na lokomocję wstęp wzbroniony. Że niby po-pijanemu może wtranzolić się pod koła. A zarząd — później płać.

Jak Boga kocham, przeczyta człek takie humanitarne słowa i z nową energją chciałby żyć. Że niby — troszczą się, pilnują, nie puszczają cię, łajdaka, pod koła.

I trzeba nadmienić — rozporządzenie to nie pozostało tylko na papierze. To weszło w życie. Wczoraj sami obserwowaliśmy, jak się to wprowadza w praktyce. Wlanemu jednemu za nic nie dali jechać tramwajem.

Otóż siedzi, taki łach, w tramwaju i jedzie. Niema co, siedzi on dosyć cicho,, nikogo po zębach nie wali. Ale, oczywiście, poznać, że pijany. Bełkocze tak, z lekka. Rączkami wymachuje. Jeździ tak jakoś na swojem miejscu. Ale tymczasem nikogo nie bije i nawet na nikogo się nie zamachnie. Jedzie on, jedzie, a tu nagle grupa pasażerów wypowiada swe najżywsze oburzenie.

— Skoro, powiadają, jest już przymusowe rozporządzenie, to dosyć dziwnem jest obserwować na lokomocji kategorję takich osób.

Konduktorka powiada:

— A czy ich dopilnujesz! Włażą, jako zupełnie trzeźwi, a później, na lokomocji ich rozbiera.

I podchodzi ona do pijanego i każe mu złazić. — Bo, prawda, wy pod koła wpadniecie, a ja później za was mam odpowiadać!

A pijanego jak ruszyć, to on koniecznie charakter okazuje. Tak i tym razem.

Ale tu pasażerowie wzięli się za niego i zaczęli go zgodnie wysadzać.

Niektórzy, oczywiście, trzymają z nim sztamę:

— A niechajże, powiadają, jedzie sobie. Niema co, jak Boga kocham! Nie ruszcie go. Tak, to wy go naprawdę wpakujecie pod koła.

A i ci, co go ciągną — wypowiadają swoje współczucie.

— Wiadomo, powiadają, jak człek się wstawi, to nigdy nie wiadomo, co będzie. Tylko patrzeć, jak wsiąknie pod koła.

I, oczywiście, czemprędzej wysadzają go.

Wyciągnęli go na platformę. Zatrzymali wagon. I wypchnęli na bruk.

A on wrzeszczy, awanturuje się, z powrotem się pcha, usiłuje znów wejść do tramwaju. Oczywiście, spędzają go, łechcą go w pierś, żeby mu ręce odczepić.

Tu, oczywiście, tramwaj rusza i pijany wali się z kopyt, niemal że pod koła.

I jeszcze dosyć szczęśliwie spadł. Nóżki wprost na włos od koła. Jeszczeby pół cala i nogiby się nie dorachował.

A tu nic. Tylko mordę sobie rozbił. I pierś pokaleczył.

Ale nic. Wstał. Wrzeszczy ohydnie, pięściami wygraża — że niby, do cholery, co wam zawiniłem, żeście człeka o mało nie zakatrupili.

Ale, wiadomo, ci pijani... Czy oni coś wogóle rozumieją? Jeżeli się o nich trzeźwi nie będą troszczyć, oni bezwarunkowo zaraz pod koła padać zaczną.

Otóż to, właśnie dla nich męczą się, wydają reguły ruchu, papier psują i tak dalej...

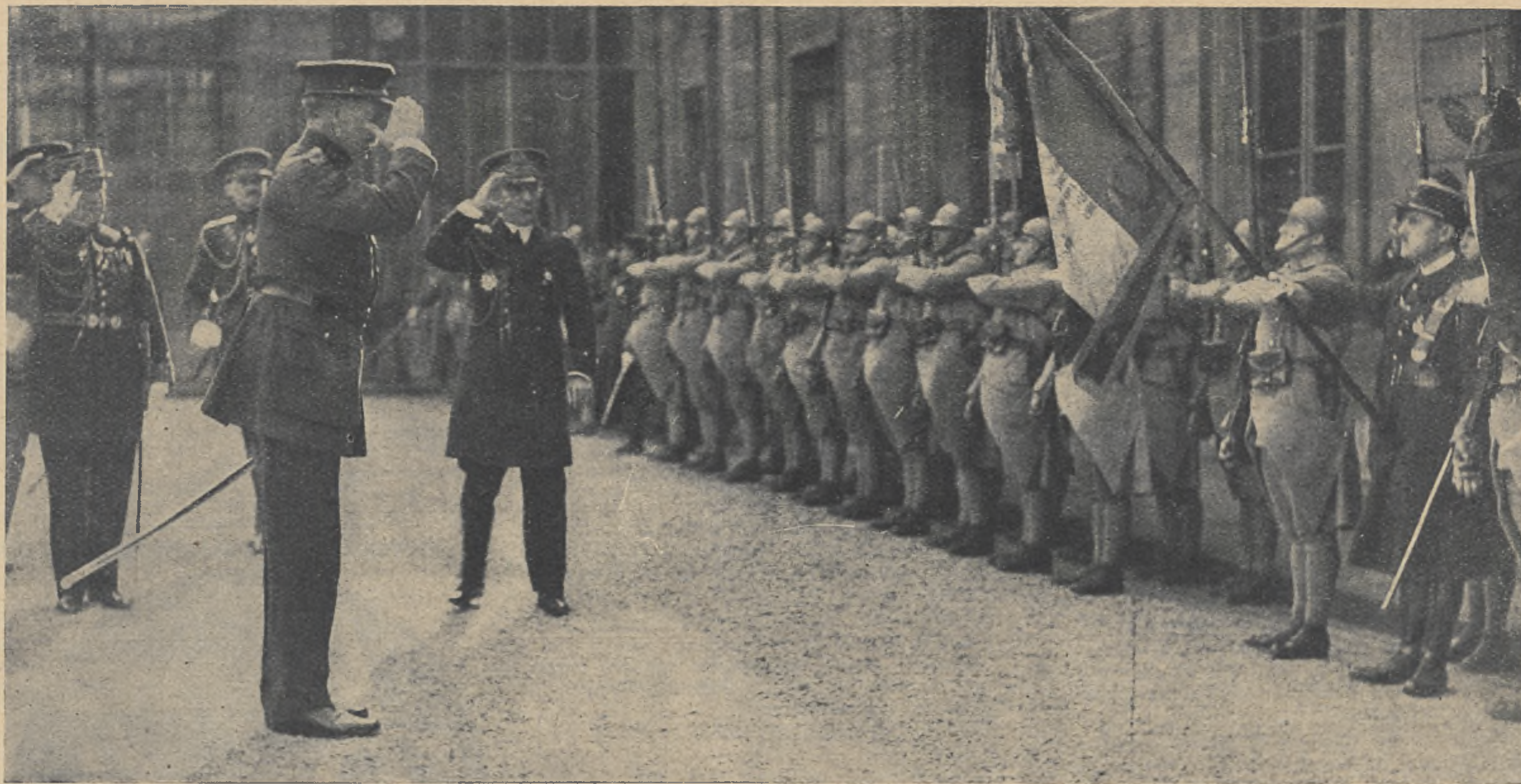
Bo niby szkoda człeka. Chociaż pijany człek, a przecież szkoda go na wieki utracić.

Tłom. Ali.









Król Belgijski przybył do Paryża w odwiedziny do Prezydenta Doumergue'a, z którym go łączą więzy szczerej przyjaźni.



Charlie Chaplin był gościem księcia Westminsteru, który urządził na cześć artysty paradne polowanie. Na fotografji Charlot wraz z gospodarzem (patrz artykuł na ostatniej stronie).

Co słychać na świecie

Wiadomości z terenu międzynarodowego wciąż obfitują w sensacje.

Na pierwszem miejscu — kwestja anschlussu. Kursują w tej sprawie pogłoski, iż tajne klauzule umowy dotyczą postanowień natury militarnej. W Londynie min. Henderson oświadczył w Izbie Gmin, iż zwrócił się osobiście do Sekret. Rady Ligi Narodów z żądaniem wniesienia sprawy porozumienia austro-niemieckiego na porządek dzienny najbliższej sesji.

Nie mniej ważną dla nas kwestją jest wynik konferencji kolejowej, odbywającej się w Kownie gdyż Litwa zgodziła się wreszcie przepuszczać polskie transporty tranzytem. Na wypadek, gdyby powstały przytem pomiędzy Polską a Litwą nieporozumienia, postanowiono, że będzie je rozstrzygał sąd trzeciego państwa. Umowę tę zawdzięczać należy Łotwie i Estonji.

Sesja wiosenna Ligi Narodów zwołana jest na 18-go maja.

Ogromne znaczenie przypisują w Rumunji przyjazdowi do Bukaresztu szefa Royal Dutch'u, Deterdinga. Wizyta jego ma rzekomo być związana z akcją, dążącą do sparaliżowania konkurencji nafty sowieckiej.

W kraju — prawdopodobieństwo rychłego zwołania Izb na sesję nadzwyczajną.



Rozpoczynając kampanję przedświąteczną obrony rodzimej wytwórczości, Liga Samowystarczalności Gospodarczej podejmowała dziennikarzy stołecznych, z królową smakoszów, panią Elżbietą na czele, winami krajowego wyroba. Prelekcję o winiarstwie wygłosili fachowcy.

Topnienie wielkich fortun

Temat obrałem ze wszechmiar sezonowy, jako że wiosenny, doskonale uspasabiający wobec nagminnie panującej biedy.

Fortuny topnieją z różnych przyczyn, że jednak pocieszyć pragnę strapionych Czytelników, zgóry się zastrzegam, że ani razu nie wspomnę o wypadkach kryzysu.

Zacznę od Carnegiego. Przemożny król stali dorobił się, jak wiadomo, olbrzymiej fortuny, która wahała się w granicach od 250 do 300 milj. dolarów. Lecz imię tego Krezusa wsławione zostało nietylko wskutek wyjątkowego szczęścia, które mu sprzyjało we wszelkich poczynaniach, ale także dzięki hojnym zapisom na cele społeczne. Fundacje im. Carnegiego otrzymały 425 milj. dol., podczas gdy spadkobiercy musieli zadowolić się skromną stosunkowo sumą 23 miljonów.

Podobnie postąpił spólnik Carnegiego, H. C. Frick, przeznaczając na filantropję 117 milj., a rodzinie 25 milj., z czego Państwo ściągnęło połowę.

Skurczyła się również kolosalna fortuna Vanderbildtów. Lecz tu już zaważyły inne czynniki, wnuk bowiem protoplasty możnego rodu wdał się w nieszczęśliwe spekulacje i zdołał ocalić zaledwie 35 miljonów, które zostały podzielone po jego śmierci na cztery części.

Spadkobierca Goulda nie lepiej postąpił z 75 miljonami, które odziedziczył po ojcu, gdyż w jego rękach fortuna ta stopniała do 30 miljonów, a spadkobierców po jego śmierci okazało się aż ośmiu.

Inny bogacz amerykański, J. K. Kennedy, zapisał cały prawie majątek, wynoszący około 60 milj. na cele społeczne, pozostawiając rodzinie mizerne ochłapy.

Z pośród różnorodnych czynników, wpływających na kurczenie się fortun, na czoło wysuwa się Fiskus, który ciężką ręką zgarnia do swej nienasyconej kabzy olbrzymią część, tytułem podatku spadkowego.

Oto statystyka angielska podaje w tej mierze wielce ciekawe dane. Okazuje się bowiem, iż w roku ubiegłym zmarło w Wielkiej Brytanji 19-tu ludzi, posiadających od 1 do 9,5 milj. funtów, oraz 30-tu, posiadających ponad 500.000 funtów. Państwo zaś ściągnęło na swą korzyść 32.500.000 funtów szt.

Dobrze jest w danym wypadku, jeśli rzecz ma się w bogatej Anglji i dotyczy majątku w gotowiźnie. Gorzej natomiast przedstawia się sprawa, w stosunku do własności nieruchomej, zwłaszcza, jeśli obciążona jest klauzulami, ograniczającemi jej sprzedaż, jak np. ordynacje. Podobne wypadki miały miejsce w naszym kraju, gdzie, jak wiadomo, trudno zmobilizować gotowiznę, choćby zagwarantowaną najsilniejszemi gwarancjami.

A Fiskus nie czeka — bezwzględny jest i ściąga przymusowo pokrycie.

Bodaj to być Fiskusem!...

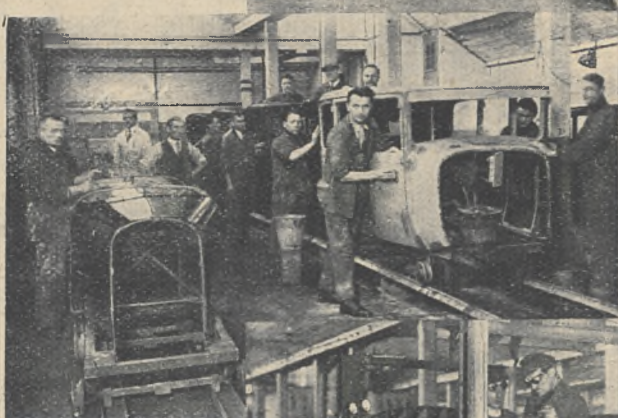
CITROËN W POLSCE

Widok części zabudowań fabrycznych od strony ulicy Górnośląskiej, gdzie mieści się również stacja obsługi

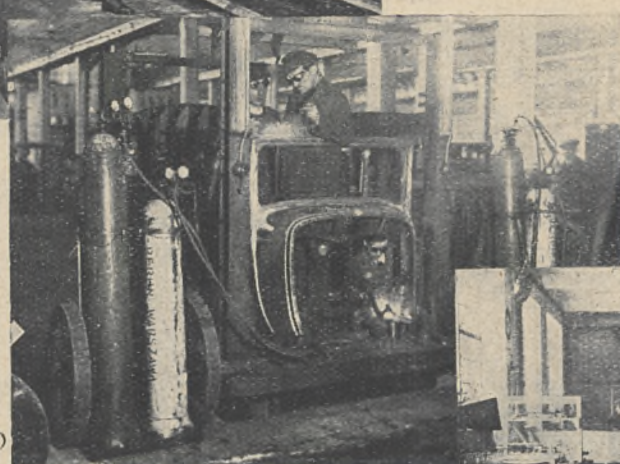




Fragment jednej z hal fabrycznych: dział karoseryjny



Przygotowanie całkowicie stalowej karoserji do lakierowania systemem Duco



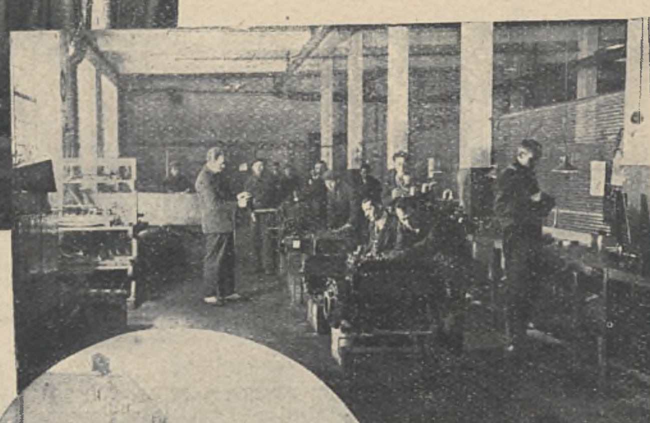
Spawanie karoserji

Warszawska fabryka Citroën rozpoczęła swą samodzielną działalność dnia 1-go stycznia 1930 roku. Jest ona urządzona na wzór centralnych zakładów w Paryżu, a więc posiada najnowocześniejsze urządzenia techniczne. Należy podkreślić, że w swej produkcji korzysta ona w znacznej mierze z materjałów krajowych.

Rozpoczęcie działalności przez tę fabrykę rok temu przynosi poważną zniżkę cen na samochody Citroën oraz wprowadzenie sprzedaży na niebywale dogodnych warunkach.

Znaczna zniżka cen na oryginalne części zamienne Citroën jest dalszą zdobyczą, osiągniętą dzięki owocnej działalności tej fabryki.

Zorganizowana sieć stacji obsługi, oparta o fabrykę, oraz nowoczesne, wzorowe warsztaty reperacyjne dają posiadaczom samochodów Citroën takie przywileje, jakich nie spotykano dotąd na rynku polskim.



Fragment wzorowych warsztatów reperacyjnych



Salon wystawowy w Warszawie, Wierzbowa, róg Trębackiej

Dwa filmy: Dobry i zły

W kinoteatrach stolicy demonstrowane są obecnie dwa filmy, w których życie wojska odgrywa dużą rolę. Filmy, wprawdzie, nie militarne, ale oparte — jeden o wielką wojnę, drugi — o służbę w legji cudzoziemskiej.

Pierwszy — wykrojony z dzieła Remarque'a „Na Zachodzie bez zmian", jest filmem naogół udanym. Widać, że w wykonanie jego włożono wiele trudu i poważnie przestudjowano materjał przed rozpoczęciem nakręcania. Oczywiście, było to koniecznem, albowiem zrobienie z wielkiego dzieła niemieckiego pisarza, pospolitego kiczu, naraziłoby kredyt wytwórni i ją samą na poważne nieprzyjemności.

Trudno powiedzieć coś o całości, bo film przeszedł przez nożyce Kino-Anastazji, która u nas miewa nieraz dziwne fantazje: W takiej np. „Miss Cavell" wycięto scenę, gdy oficer strzela do żołnierza, natomiast pokazano potem trupa, leżącego w szeregu. Nie wiadomo więc, w jakim kierunku poszły nożyce w filmie „Na Zachodzie bez zmian".

Trudno sądzić, że tym razem były sprawiedliwe i wykrajały tylko to, co mogło być dla polskiego widza niemiłem, albowiem pozostawiono niesmaczną scenę z kobietami francuskiemi, a także kilka scen może i realnych, ale wyraźnie defetystycznych.

Pozatem film z punktu widzenia militarnego jest dobry. Nawet bardzo dobry. Epizody batalistyczne są wprost świetne. Niedociągnięć „taktycznych" bardzo mało i ani jednej „groteski melo-wojskowej", ani jednej „bujdy", jak w „Wielkiej paradzie". Atak, kontratak i walka na cmentarzu, to istne arcydzieła i dziesiąta muza jeszcze się dotąd na nic podobnego nie zdobyła. Schron w czasie bombardowania, to też małe arcydzieło. Gorzej trochę oddane są epizody w koszarach i na tyłach, ale i te są naogół o całe niebo lepsze, niż w innych amerykańskich filmach. Naogół jednak film jest ponury, a jakkolwiek jeden z bohaterów mówi, że na froncie czuje się znacznie lepiej, niż w domu (co jest lekcją dla naszych ultrapacyfistów, nie mogących zrozumieć psychiki żołnierza i odwiecznej „grandeur et servitude militaire", — to jednak całość może na charaktery słabe czy bojaźliwe uczynić wrażenie przygnębiające i pobudzić je do defetyzmu.

Rozumiemy więc doskonale, dlaczego pokazywanie tego filmu, mimo jego pozornego objektywizmu i niezadrażniania uczuć patrjotycznych obu stron, wywołało taką burzę w Niemczech i sprowokowało aż demonstracje i bójki. Jest rzeczą pewną, że gdyby co miesiąc obywatele niemieccy oglądali taki film, ich tęsknota za świeżą i wesołą wojenką, za ostrą szpadą i suchym prochem, znacznie by ostygła. Możemy żałować, że tak się nie stało i... wyciągnąć z wycofania „Na Zachodzie bez zmian" z ekranów niemieckich, odpowiednie przesłanki.

Drugi film — „Marocco" — oparty nibyto na przygodach legji cudzoziemskiej, jest najpotworniejszym stekiem to wesołych, to ponurych bredni „made in U. S. A.". Jedynie w Ameryce można było spłodzić coś podobnie nonsensownego historycznie, obyczajowo i militarnie.

Oczywiście, nie powinno nas to dziwić. Słyszeliśmy już tłum paryski, zdobywający Bastylję przy dźwiękach Marsyljanki, śpiewanej po angielsku. Dlaczego więc w legji cudzoziemskiej nie możemy słuchać komend, wydawanych po francusku, podczas gdy jednocześnie żołnierze rozmawiają między sobą (i z Arabkami) po angielsku. Jest to tylko jedna ze złych stron dźwiękowców, bo podczas, gdy „tacita filmia" była międzynarodowa, film dźwiękowy zniszczył odrazu czarowną krainę powszechnego zrozumienia. Teraz już nie można się wzruszać nad płaczącą Marleną Dietrich, bo Marlena ma skrzekliwy głos i mówi po francusku z okropnym niemieckim akcentem.

Zresztą djalogi francuskie polegają głównie na mówieniu „oui missie", albo „oui mamzel" (fonetycznie), co ma, prawdopodobnie, naśladować akcent paryski... Zresztą to djalogi angielskie, zupełnie nie na miejscu w Sidi-bel-Abbe's.

A cóż za potworne nonsensy militarne znajdują się w tym filmie. Więc żołnierze legji, pułku, o najsurowszej w świecie dyscyplinie, chodzą do jednej knajpy z oficerami, zalecają się do tych samych kobiet (w granicach własnego garnizonu), odpowiadają grubiańsko na uwagi podoficerów, aresztowani — palą w więzieniu i zachowują się wyzywająco wobec przełożonych, za taki kawał w legji „prawdziwej" groziłoby to trzy lata „Biribi"), mówią swobodnie o dezercji.

No, a ten „adjutant", który sam feruje wyroki, zapominając, że w kompanji są jeszcze oficerowie. A ten „arabski" karabin maszynowy, który, ni ztąd ni zowąd, zaczyna strzelać w maszerującą bez ubezpieczenia, wśród dzikich skał, kolumnę. A ten samotny żołnierz, którego wysyłają na zdobyce owego karabinu maszynowego. Szkoda, że nam tego zdobywania nie pokazywano.

Jednem słowem aktorzy grają koncertowo (co ratuje film od zupełnego fiasca), wystawa jest arcybogata, Marlena Dietrich ma prześliczne nogi, piosenki są ładne — tylko... tylko, co to ma wspólnego z legją cudzoziemską, Afryką i Arabami? Bo nawet „marsz legji" grany jest tak po „amerykańsku", że gdyby go w ten sposób zagrała słynna „klika", piastująca do dziś dnia tradycje z „Sidi-Brahim", biednego tambur-mażora znalezionoby prawdopodobnie nazajutrz w stanie, niezdatnym do dalszego prowadzenia orkiestry.

Tak. „Marocco", to może obrazek z Filipin czy Panamy, ale w żadnym wypadku nie ta miejscowość, o której pokazanie autorom chodziło. Zresztą, intryga miłosna jest tak przeprowadzona, że mogłaby dziać się, bez szkody dla akcji, w każdym innym kraju. Pocóż więc sięgnięto do fałszywego egzotyzmu?

Koniec filmu (kobieta europejska, wyruszająca bez żadnego przygotowania w marsz za kompanją legji i gubiąca swe pantofelki w piaskach pustyni), jest bardzo ładny. Ale jest także typowym przykładem tego, co poważniejsi od Amerykanów Anglicy nazywają „capital nonsense". Wobec takich nonsensów, grany w innem kinie film operetkowo-romantyczny, p. t. „Rozkaz księżniczki", gdzie bohater w ciągu 24 godzin awansuje z porucznika na generała, wydaje się szczytem prawdopodobieństwa.

Jim.

POPIERAJCIE L. O. P. P.

JAN PIOTROWSKI.

OSTATNIA FALA

5. Musztarda po obiedzie

Co tu gadać, kochani Czytelnicy, kiedy niema o czem mówić. Co tu owijać w bawełnę! Jeszcze rok, dwa, trzy — no, może potrwa to trochę dłużej — a świat cały się wyludni... Czemu? Bo zatraciliśmy szacunek dla czcigodnych tradycyj gastronomicznych, kulinarnych, stołowych, kuchennych, spiżarnianych oraz piwnicznych. Bo zapomnieliśmy, że sprężyną życia nie jest ani giełda, ani miłość, ani prasa, ani parlament, ani samolot, ani dźwiękowiec, ani nawet radjo — ale J. Kr. M. BRZUCH, na którego cześć sto lat temu taką odę wyśpiewał kantorbery Tymowski:

Sprężyno życia! wielowładny brzuchu,
Co ziemię całą utrzymujesz w ruchu —
Tobie, któremu hołdują i trony,
Brzmią moje strony.
Ojcze przemysłu, ojcze twórczej pracy!
Daremnie z tobą walczyć chcą próżniacy:
Leniwa ręka, skoro głód dokuczy,
Robić się uczy.
Napróżno miłość, gdy żołądek pusty,
Koralowemi odzywa się usty:
Kupido zimny i Cypryda niema,
Gdy jeść co niema.

Niestety, kochani Czytelnicy, niestety! Kędyż są „one złote, tłuste lata, w których (według świadectwa Podworuckiego) — z kiełbas płoty pleciono, a połciami i gomółkami domy pobijano"? Kędyż są zacne postacie przodków naszych, którzy „za króla Sasa jedli, pili i popuszczali pasa"? Kto ze współczesnych pójdzie śladami tego szlachcica polskiego z 17-go stulecia, o którym mówi Zbylitowski, że: „przed się drugi półmisków sto każe postawić na jeden obiad, by też wieś na to zastawić"? Gdzie, w jakiem muzeum, pod jakim kloszem, albo w jakim słoju spirytusowym marynuje się ta przysłowiowa chata, tem rada, czem bogata? W jakim dalekim zakątku spotkać się można z tą „czapką, papką i solą, którą ludzie ludzi niewolą"?

Pozostało z tego tylko — „wspomnienie", jakby powiedziała ciocia Telimena — wspomnienie i — wiecznie nieśmiertelna, wonna, smakowita, soczysta, tłusta, litewska, krakowska, warszawska i poznańska kiełbasa wyborcza. Ona jedna od czasu do czasu godnie podtrzymuje stare tradycje gościnności polskiej — ona jedna, prężna, zwinna, elastyczna — układa się w dowolne „numerki wyborcze"... Gdyby nie ona — brzuch, owa potężna „sprężyna życia", zmalałby do rozmiarów lilipuciej sprężynki od zegarka damskiego...

I tu, w tym katastrofalnym upadku brzucha, jak wszędzie zresztą — cherchez la femme — szukajmy kobiety! Bo nie kto inny, lecz właśnie kobieta współczesna—po długich spiskach i konszachtach ze zdradziecką Modą—pierwsza wykrzyknęła:

— Precz z brzuchem! na pohybel!

Więc niedojada nietylko pani domu — kandydatka na gwiazdę filmową lub „Miss Europę" — lecz i cała jej nieszczęsna rodzina. I cóż się dziwić wygłodzonemu mężowi, którego żoneczka pyta przy czarnej kawie:

— No, jak ci smakował obiadek?

— Owszem, owszem...

— A co ci najwięcej przypadło do gustu?

— Co? hm... sardynki!

Tak, proszę, państwa! Włosy stają na głowie na myśl, jaki marny los czeka wyrodnych potomków Reyów, Zagłobów, Radziwiłłów Panie Kochanku i choćby tego poczciwego szlachciury, który, wedle świadectwa Syrokomli: „Zjadł na śniadanie udo baranie i witych w cieście kołdunów dwieście"!... Nie samemi sardynkami człowiek żyje! Już Mątłaszewski w swej „Babie, albo starym inwentarzu" słusznie zauważył, że: „kto nie jada jeno raki, flaki, żabki, sałatę, a ślimaki; kto nie chowa tylko kozy, kaczki, koty; kto nie sieje oprócz jarmużu jarkę a tatarkę, a do tego ma żonę Barbarę! — nie pytaj go: jak się ma? jeno jeśli jeszcze żyw..."

Ofiarą tych opłakanych stosunków padł rok temu — kto? nasz przemiły król spikerów, pan na mikrofonie z przyległościami, Prince-Charmant rozgłośni warszawskiej — jednem słowem p. Tad. Bocheński we własnej osobie. Jest on, jak wiadomo i jak jego stan cywilny opiewa — kawalerem. Wszystkie te jego przymioty sprawiły, że jakieś sto gościnnych domów warszawskich, zaprosiło go do siebie podczas Świąt Wiekanocnych. Spotkałem go po świętach w studjo — istny Piotrowin! Oczy podkrążone, policzki zapadnięte...

— No, jak pan się bawił, panie Tadeuszu?

Spojrzał na mnie zukosa.

— Jestem... głodny.

— Jakto?

— A takto! Nie poczyniłem żadnych zapasów na święta — i przez całe trzy dni prawie nic w ustach nie miałem.

— No, a te zaproszenia?

— Owszem, byłem w kilkunastu miejscach. W pierwszem podano wyborną struclę makową i — „miód kasztelański". W drugiem częstowano mnie piernikami i — winkiem owocowem. W trzeciem postawiono na stole struclę pistacjową i — jakiś kwas domowego wyrobu. To samo w czwartem, piątem i tak dalej... Nareszcie, w drugi dzień świąt, kiedy już ledwie na nogach się trzymałem z osłabienia, trafiłem w pewnym domu na „gorącą kolację". Podano półmisek z kotletami — nie! z kotlecikami — takiemi malu, malu, malusieńkiemi. Było nas osiem kotletów — t. j. nie — było nas osiem osób przy stole, a dziewięć kotletów na półmisku.

— Jedzcie, państwo — zachęca gospodyni — bo potem będzie tylko strucla ponczowa—i już!

Wziąłem tego kotleciaka na widelec—ham!—nawet gryźć nie było co, ani krajać nożem... Służąca wnosi talerz z nieśmiertelną struclą, a ja oczu nie spuszczam z jedynego kotlecią̨tka, które mrugało na mnie zalotnie z półmiska. Nagle — pstryk! I gasną wszystkie światła. Korek się przepalił, czy coś takiego. Dość, że w pokoju zrobiło się ciemno, choć oko wykol. Nagle rozległ się straszliwy, nieludzki krzyk, pełen bólu i przerażenia. Ktoś zaświecił kieszonkową latarkę — i oczom naszym przedstawił się okropny widok: na półmisku, kurczowo ściskając kotlet, leżała dłoń ludzka — i tkwiło w niej 7 widelców, wbitych aż po trzonki!

— Straszne, straszne, panie Tadeuszu! Więc to dlatego ma pan rękę obandażowaną...

Mruknął coś niechętnie i cofnął się za kotary swego pokoiku... A szkoda, bo chciałem go na pocieszenie zaprosić na pokład okrętu, który zawiózłby nas do cudownych brzegów „Wyspy wszelkiej szczęśliwości" Alojzego Żółtkowskiego, gdzie:

Domy są o dwu piętrach, w każdem oknie ganek,
Schody z bułek siedleckich, a okna z taranek,
Firanki z naleśników, frendzle z makaronów,
Zamki z szynek, półgęsków; klucze z salcesonów.
W doniczkach rośnie bigos lub potrawka z kury,
Podług uprawy ziemi i nasion natury,
Bowiem ziemia tej wyspy jest cudnej zalety:
Posiać kostki z kotletów, zrodzą się kotlety...

Aj, dość tego, bo mi język ucieknie! Przecież, jak zapewniał Rossini — „apetyt jest tem dla żołądka, czem miłość dla serca. Żołądek zaś jest kapelmistrzem, któremu jest posłuszna orkiestra naszych uczuć. Żołądek pusty gra na kontrabasie nienawiści i na cienkich fletniach zawiści — pełny, uderza w dzwoneczki radości i bije w bęben rozkoszy. Jeść i kochać, śpiewać i trawić—oto cztery akty opery komicznej, którą zowią — życiem"...

Było tak drzewiej — dziś również hołdujemy, jak możemy, kultowi brzucha. Zaprośmy, naprzykład, na kolację chórzystkę opery, pannę Stellę Kartofel, bohaterkę dowcipnego „Piąte przez dziesiąte" Makuszyńskiego:

„Patrz! patrz! Dziewczę zachowuje się, jak hiszpańska infantka. Siedzi, jakby na przekąskę zjadła kij, nie mówi nic, tylko się wciąż przegląda w lustrze. Twoje pomysły, aby ją rozbawić, przyjmuje z litościwym uśmiechem pogardy. Zaczynasz ją wielbić coraz bardziej, a oczy wychodzą ci na wierzch ze szczęśliwego zdumienia, kiedy to najmilsze stworzenie wyda z siebie wreszcie głos i kiedy mówi: — Niech będzie kawior, ale ja lubię tylko z cebulą, potem taki ptak, co ma długi ogon i z ogonem go podają na półmisku i to wino, co tak uderza do nosa, że aż kręci... — Ach, cudna, wytworna prostoto! Jakież skarby duszy ukrywać się muszą w sercu kobiety, jeśli takich skarbów pożąda jej żołądek! O, tak!"

Wypijmy więc za zdrowie panny Stelli, a że kielich trzymam w ręku, więc i Wasze zdrowie wznoszę, życząc Wam, najmilsze i najmilsi, Wesołych Świąt.



Matka do córki: — To pewnie ktoś z rodziny twego męża. (Rire)

Impresje teatralne

Teatr Polski: „Mąż z grzeczności” Abrahamowicza i Ruszkowskiego.

Obecną publiczność „bierze” tylko coś wesołego, — powiedział sobie dyr. Szyfman i poszukał komedji. Komedji starej, bo przy słuchaniu nowych, zwłaszcza wyrobu krajowego, przeważnie na płacz się zbiera. I dobrze trafił. Stara komedja „uderzyła”. Bawiono się świetnie.





W medaljonie: Szczepańska, jako Zosia i Gruszczyński, jako „Król-Kochanek” z opery Wieniawskiego. (fot. Brzozowski)



Na prawo — Elna Gistedt a na lewo: Kulczycka i Redo w „Różach z Florydy” Falla. (fot. Forbert)

Komedyjka rzeczywiście jest niezgorsza, a na scenie — koncert gry! Największą i najmilszą niespodziankę zrobił nam Jerzy Leszczyński. Już w „Katarzynie” dawał do zrozumienia, że nadawałby się do ról charakterystycznych, ale dopiero tu w roli kapitana stanął na doprawdy niedoścignionej wysokości artystycznej. Co to jednak znaczy rasa aktorska! Czego się chwyci — zawsze jest świetny, znakomity, niedościgniony! Tak samo, zresztą, Czaplińska, mając tym razem dla siebie dużo i wdzięcznego pola do popisu. Rolę tytułową mężnie wziął na swe barki Wesołowski, chlubnie wywiązując się z powierzonego mu zadania. Najlepszy był w scenach komicznych, tembardziej, że wogóle celuje w rolach głupkowatych amantów. Bardzo ładnie zagrała rolę Wandzi młoda artystka Lubieńska, rokująca coraz piękniejsze nadzieje, jako talent świeży, nietknięty jeszcze rutyną, a wnikliwy, pojętny i subtelny. Cechuje ją chwalebna staranność i rzadko spotykana inteligencja w opracowywaniu ról. Wśród mnóstwa dobrych epizodów na pierwszem miejscu stanowczo postawić wypada Bogusińskiego, niesamowicie komicznego, a następnie pochwalić: Dominiaka, jako soczystego „forysica”, wyśmienitą parę „précieuses ridicules” w osobach Sulimy i Munclingrowej (ta ostatnia bajecznie modulowała wszelkie intonacje „hm, hm”), Macherską, Ratschkę, słowem wszystkich.

Teatr Wielki: „Król-kochanek” A. Wieniawskiego.

Przypomina mi się wierszyk, którego uczyłem się w dzieciństwie. Tematem był opis polowania na sarny i kończył się w ten sposób: „Już, już padła, już nie wstanie już skończone polowanie”. To samo właśnie zdarzyło się z nową operą Wieniawskiego. Rozpoczęto na nią polowanie z naganką, ustrzelono i koniec. Coprawda, kto tej opery nie ujrzy, niewiele straci, najwyżej ominie sposobność przekonania się o wybitnej dekoracyjności p Grudzińskiej i o tem, że zespół baletowy posiada istne klejnoty taneczne, nieumiejętnie wszakże spożytkowane i marnujące się w nieudolnych układach zniedołężniałego już baletmistrza.

Henryk Liński.

J. S. FLETCHER. 6)

MORDERSTWO NA OGRODOWEJ

Streszczenie poprzednich rozdziałów.

Do młodego adwokata, Shelmore'a, zamieszkałego w miasteczku Southemstowe, zgłasza się młoda panna, Cyntja Gretty, z tem, że opiekun jej, pan Deane, zniknął nagle z hotelu, w którym miał na nią oczekiwać. Adwokat i Cyntja udają się do hotelu, by zbadać sytuację na miejscu. Wzywają inspektora Mellaponta, który, po śledztwie wśród służby, powierza sprawę swemu najzdolniejszemu detektywowi, Johnowi Hackdale.

Otworzył walizkę, stojącą na ziemi przy łóżku, lecz ku wielkiemu zdziwieniu skonstatował, że była pusta.

— Pedant w swoim rodzaju — mruknął. — Powyjmował wszystko i poukładał w szufladach. Przeszukajmy kieszenie w ubraniach. Może tam są jakieś listy, czy papiery.

W szafie znaleźli dwa garnitury i płaszcz, lecz w kieszeniach również nic nie było. Zarówno nie znaleźli nic ciekawego w szufladach, oprócz kilku sztuk bielizny, poukładanej w należytym porządku. Wzrok Mellaponta padł teraz na skórzaną tekę, leżącą na jednem z krzeseł.

— Może tutaj będą jakieś papiery — zauważył. — Na szczęście nie jest zamknięta na klucz.

Przeniósł teczkę na stół i począł wyjmować znajdujące się w niej drobiazgi.

— Przeważnie papiery i książki — mruczał dalej. Najprawdopodobniej jakieś przewodniki.

Istotnie, między książkami było kilka przewodników z widokami starożytnych kościołów i pamiątkowych zabytków. Pod książkami leżała paczka papeterji i kart wizytowych. W papeterji tej znalazł Mellapont kilka listów, zaadresowanych do Jamesa Deane. Wszystkie podpisane były: *Kochająca cię Cynthia.* W małej kieszonce teki znalazł inspektor zwój rachunków hotelowych, poukładanych podług dat. W pewnej chwili Shelmore zauważył paczkę pocztówek z widokami, opasanych papierową banderolą. Pocztówki te pochodziły z rozmaitych miast, które prawdopodobnie zmarły zwiedził ostatnio.

— Kolekcjonował widocznie te widoki, — zauważył Mellapont. — Panna Pretty wspominała, że podróżował dużo nawet ostatnia, gdy ona przebywała w Bath. Ma pan tu rozmaite miejscowości: Exeter, Bristol, Gloucester, Worcester, Birmingham, Sheffield, Normansholt... Gdzież to jest Normansholt, panie Shelmore?

Mellapont nie zauważył dziwnego spojrzenia Shelmore, gdy usłyszał o Normansholt. Jeden z dwunastu jego klijentów, sir Reville Childerstone, z Childerstone Park, był właścicielem jakiejś posiadłości w Normansholt i prowadził ostatnio sprawę przeciwko jednemu ze swych dzierżawców. Sprawą tą zajmował się właśnie Shelmore i dlatego też nazwa Normansholt nie była mu obca. Spoglądał teraz z zaciekawieniem na widoki, które Mellapont przeglądał.

— Normansholt? — powtórzył. — To musi być w hrabstwie Yorkshire. Stare historyczne miasto, posiada piękny zamek, który bardzo często zwiedzają przyjezdni turyści.

— Hm! Właśnie mam tutaj widok tego zamku, — rzekł Mellapont, przerzucając dalej pocztówki. — Widocznie Deane przeniósł się potem w kierunku południowym. Mamy tu widoki Doncaster, Newark, Peterborough, Stamford, Ely, Cambridge, Londynu i Dorkingu. Piękną zrobił turę, drogi panie. Widocznie interesował się specjalnie wszelkiemi zabytkami. Przejrzę teraz te listy, może w nich coś znajdę...

Wyjął z teczki pakiet listów, i usadowiwszy się na jednem z pobliskich krzeseł, począł je dokładnie przeglądać. Shelmore zajął się znowu przeglądaniem pocztówek. Widocznie Normansholt było miejscowością specjalnie malowniczą, Deane bowiem zakupił tam około trzydziestu widoków. Między innemi Shelmore dostrzegł fotografję jakiejś starożytnej dzielnicy tego miasteczka z szeregiem niskich, zapadłych już prawie domków. Zaciekawiło go najbardziej to, że wśród domków tych ujrzał jeden nieco wyższy i ładniejszy. Od dachu tego domku ktoś przeprowadził ołówkiem prostą linję aż do brzegu pocztówki. Linja ta, widocznie, miała być rodzajem strzałki i miała komuś coś pokazywać. Shelmore począł się zastanawiać nad tem głęboko.

— Czemu mnie to właściwie tak interesuje? — zapytywał sam siebie. — Ale dlaczego z pośród dwudziestu, czy dwudziestu pięciu widoków Normansholt, Deane naznaczył właśnie tę pocztówkę? Czyżby ten domek tak bardzo przypadł mu do gustu? Jaka mogła być przyczyna? Dlaczego to uczynił? I znowu — dlaczego!

Spojrzał ukradkiem na Mellaponta, lecz inspektor, zaabsorbowany był odczytywaniem listów i rachunków. Upewniwszy się, że Mellapont nie zwraca nań uwagi, Shelmore począł dalej przekładać pocztówki, aż doszedł wreszcie do widoków z Dorking, gdzie Deane, prawdopodobnie, był ostatnio przed przybyciem do Southernstowe. Na żadnej z pocztówek nie dostrzegł już żadnego znaku i znowu przyszła mu na myśl widokówka, przedstawiająca kilka domków, z których jeden oznaczył James Deane dziwnie nakreśloną strzałką.

Nagle Mellapont podniósł się z krzesła i paczkę listów schował z powrotem do teczki.

— Niestety, niema nic, panie Shelmore — westchnął. — Zaledwie kilka rachunków hotelowych i listów od panny Pretty, w których jest mowa o spotkaniu w hotelu Chancellor Zamkniemy pokój i zejdźmy na dół. Chciałbym się jeszcze zobaczyć z Bellingiem.

Belling oczekiwał ich znowu w salonie. Mellapont wprowadził do salonu Shelmore i zamknąwszy drzwi dokładnie, usiadł na małej wyściełanej kanapce.

— Nic ciekawego nie znaleźliśmy, — zauważył. — Chciałem panu jeszcze zadać kilka pytań, panie Belling. Wie pan pewno, że przy zmarłym nic absolutnie nie znaleziono. Napastnicy obrabowali go widocznie z gotówki i biżuterji, jako też ze wszystkiego, co miał przy sobie. Wspomniał pan, że w poniedziałek wieczorem pan Deane miał przy sobie dużo pieniędzy i kosztowności. Czy ktoś obcy to widział?

— Każdy mógł widzieć jego piękną brylantową szpilkę, złoty zegarek i kilka brylantowych pierścionków na palcach! — odparł Belling. — To znaczy każdy, kto mu się tylko przyglądał!

— Bardzo słusznie! — przyznał Mellapont! — A pieniądze? Czy i pieniądze komuś pokazywał? Bo, widzi pan, są tacy ludzie, którzy lubią poszczycić się tem, że mają dużo pieniędzy i sądzą, że....

— Wiem, co pan chce powiedzieć, — przerwał Belling. — Pan Deane zdawał się nie przywiązywać specjalnej wagi do gotówki. Przed obiadem przyszedł do bufetu i kazał sobie podać sherry. Byłem tam właśnie i dostrzegłem, że wyjął z kieszeni całą garść pieniędzy, między któremi były również srebrne i złote monety. To samo uczynił po obiedzie, gdy przyszedł do mnie do bufetu, zapytując o jakiś lokal rozrywkowy. Dobył wówczas również kilkanaścia monet, płacąc za dwa cygara.

— Czy byli wówczas w bufecie jacyś goście? — zapytał Mellapont.

— Naturalnie! Wszystkie sale o tej porze bywają przepełnione.

— Tutejsi mieszkańcy, czy przyjezdni?

— Jedni i drudzy. Było również kilku przyjezdnych. Z pośród mieszkańców tutejszych byli i tacy, których wcale nie znam, chociaż wmawiam sobie, że znam wszystkich z Southernstowe. Pozatem kilku rowerzystów i motocyklistów.

— A czy goście ci widzieli pieniądze pana Deane?

— Tak samo, jak widzieli brylantową jego szpilkę. Przecież pan Deane zupełnie ostentacyjnie wyjmował pieniądze z kieszeni!

Mellapont podniósł się nagle z miejsca i, życząc Bellingowi dobrej nocy, wyszedł w towarzystwie Shelmore na pustą już zupełnie o tej porze ulicę.

— Co pan myśli o tem wszystkiem, inspektorze? — zapytał Shelmore.

Mellapont chrząknął dyskretnie i począł mówić szeptem prawie, chociaż dokoła nie było prawie nikogo:

— Powiem panu, co myślę, panie Shelmore. I sądzę, że nigdy inaczej myśleć nie będę! Mam wrażenie, że pan Deane był przez kogoś śledzonym, a potem zamordowany i ograbiony. Osoba, która go śledziła, musiała wiedzieć, że pan Deane posiada dużo pieniędzy i cenną biżuterję. Pozatem jestem pewny, że zamordowany znał kogoś w Southernstowe i musiał mieć jakieś przyczyny, dla których pragnął się zobaczyć z tym kimś jeszcze w poniedziałek w nocy! Poruszę niebo i ziemię, a tego kogoś muszę bezwzględnie odnaleźć!

ROZDZIAŁ VI.

ODPOWIEDNIA CHWILA.

Shelmore nie był pierwszym, któremu Mellapont zwierzył się ze swych myśli. To samo mniej więcej, tylko w sposób bardziej dosadny, zakomunikował Johnowi Hackdale i Hackdale myślał o słowach inspektora niemal przez całą noc. Jeszcze nazajutrz rano myśli te go nie opuszczały. Mimo wszystko udał się, jak zwykle, do pracy swej w firmie Champernowne, jak gdyby od dnia ostatniego nic specjalnego nie zaszło. Aczkolwiek zasadniczo uważany był tyl-

ko za pomocnika zarządzającego firmą, to jednak, w gruncie rzeczy, był niejako główną osią całego interesu.

W małem miasteczku firma Champernowne była potentatem, w dziedzinie miejscowego handlu. Rozwinęła się ona tylko dzięki sprężystej energji właścicielki, którą wszyscy mieszkańcy miasteczka uważali za niewiastę, obdarzoną rozsądkiem i zmysłem kupieckim. Jednakże nikt prawie w Southernstowe nie wiedział, kim była pani Shampernowne. Mniej więcej przed dwudziestu laty przybyła ona niespodzianie do miasta i nabyła chylący się do ruiny magazyn. W ciągu kilku zaledwie miesięcy przeistoczyła zrujnowany sklep w interes pierwszorzędny i otoczyła się całą armją zdolnych pracowników. W owym czasie w Southernstowe byli i tacy, którzy przepowiadali pani Champernowne rychłe bankructwo, jednakże energiczna niewiasta zdawała się nie zwracać na te przepowiednie uwagi. Chociaż Southernstowe było miasteczkiem niewielkiem, to jednak zamieszkali w niem ludzie zamożni, a i okolice miasteczka uchodziły za najbogatsze w południowej części Anglji. Pani Champernowne, orjentując się w sytuacji, poczęła sprowadzać najmodniejsze i najpiękniejsze materjały z Londynu i Paryża. W niedługim stosunkowo czasie, witryny wystawowe magazynu Champernowne mogły z powodzeniem rywalizować z witrynami najelegantszych sklepów, londyńskiej Oxford Street i paryskiej Rue de la Paix. Od tego czasu pani Champernowne uważana była w mieście za autorytet w dziedzinie mody. Z biegiem czasu, energiczna ta niewiasta poczęła, całkiem mimowoli, zarabiać na swym magazynie coraz więcej i po dziesięciu niespełna latach uważana już była za najbogatszą kobietę w okolicy i najlepszą obywatelkę przybranego swego ojczystego miasta. Ale pani Champernowne zajmowała się nietylko swoim magazynem. Brała również czynny udział w życiu społecznem i interesowała się specjalnie losami miasta. Przytem ofiarowała większe sumy na rozmaite cele, czem, oczywiście, wzbudziła jeszcze większe zaufanie obywateli. Wreszcie mieszkańcy miasta wybrali ją na burmistrza. Od tego czasu obowiązki, związane z całodziennem urzędowaniem, poczęły odciągać ją nieco od interesu. Mimo to jednak, każdy niemal pracownik firmy Champernowne wiedział, że codziennie, o godzinie dziewiątej rano, szefowa przyjeżdżała do magazynu, aby osobiście przyjrzeć się wszystkiemu, co się tam działo. Zazwyczaj siadywała w prywatnym swoim gabinecie, z którego prowadziły drzwi do sklepu, i zajęta rozmaitemi bieżącemi sprawami, pozostawała tam przeważnie do godziny jedenastej.

Nazajutrz, po znalezieniu zwłok Jamesa Deane, John Hackdale punktualnie o dziesiątej rano, zapukał do drzwi prywatnego gabinetu swej szefowej. Zastał panią Champernowne zajętą przy biurku pisaniem jakiegoś listu. Na widok wchodzącego pani Champernowne podniosła głowę i obrzuciła młodzieńca jednem ze swych badawczych spojrzeń. Mimo swych lat pięćdziesięciu, pani Champernowne była kobietą jeszcze bardzo przystojną i obdarzoną dziewczęcym prawie humorem. Tego dnia jednak Hackdale zauważył, że szefowa jego była dziwnie przygnębiona i zdenerwowana. Na bladej jej twarzy malował się niepokój, a dźwięczny głos drżał nieco.

— Co się stało, Hackdale? — zapytała. — Czy coś ważnego?

— Pragnąłbym z panią pomówić, — odparł Hackdale, zamykając ostentacyjnie drzwi za sobą. — Czy zechce mi pani udzielić pięciu minut rozmowy?

Pani Champernowne przerwała pisanie listu i przyjrzała się uważnie gościowi. Hackdale nie unikał badawczego jej wzroku.

— Zupełnie prywatna rozmowa — dodał szeptem.

(D. c. n.)

Rozrywki umysłowe

WIELKI KONKURS ZADANIOWY „7 DNI"

Począwszy od poprzedniego N-ru rozpoczęliśmy wielki

wiosenny konkurs zadaniowy.

Konkurs obejmować będzie zadania, które zostaną umieszczone w niniejszym oraz w następnych n-rach „7 Dni".

W każdym n-rze zamieszczamy kupon, oznaczony kolejnym n-rem. W terminie 10-dniowym po ukazaniu się ostatniego zadania konkursowego należy nadesłać wszystkie rozwiązania wraz z kuponami listem poleconym p. a. redakcji. W dniu, o którym nastąpi zawiadomienie, w lokalu wydawnictwa odbędzie się publiczne losowanie nagród.

Nagrody

Wśród Czytelników, którzy rozwiążą trafnie wszystkie zadania konkursowe, zostaną rozlosowane

cenne nagrody w liczbie sześciu.

Szczegółowy opis nagród zostanie ogłoszony w Nr. 16-tym. Oprócz tych nagród przewiduje się *szereg nagród dodatkowych, w postaci książek beletrystycznych, oraz nagrody pocieszenia.*

SZARADA

(trzecie zadanie konkursowe)

ułożył Coturnix (specjalnie dla „7 Dni")

Całe — to piękny egzotyczny współczesny *pierwszy. Drugie* — gra japońska.

Nagrody

Za rozwiązanie zadań z Nr. 8 nagrody otrzymują (w wyniku losowania):

25 zł.

p. Leopold Osiecki, Lwów, Lewandówka, ul. Konopnickiej l. 11, I p.

Książki beletrystyczne: pp. Parachowiak, Żywiec, kasa stacyjna; Irena Szpindlerówna, Milanówek, willa „Liljana", ul. Sw. Jadwigi.

Nagrody

za rozwiązanie krzyżówki z Nr. 9 otrzymują (w wyniku losowania):

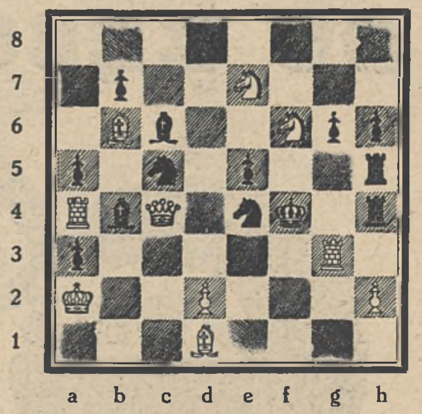
25 Zł.

p. W. Grzybowski, Poznań, ul. Wyspiańskiego 18.

Książki beletrystyczne: pp. Stanisław Kapietz, Lwów, ul. 3-go Maja 2, III p.; Jadwiga Chęsiówna, Poznań, Szamanewskiego 21 m. 14.

SZACHY

Dr. F. Mendes Moraes F.
1 nagr. O Globo 1930.



Mat w 2 posunięciach.

Konkurs zadaniowy „7 Dni"

KUPON Nr. 3

WILLY REESE.

Hochstaplerzy

Gwiazda San Canacafurja

Historja wielkich oszustw, popełnionych przez najróżnorodniejszych łotrów, częstokroć obfituje w momenty nader zabawne. Śmiało niejeden komedjopisarz mógłby sięgnąć tam, szukając tematu dla swej komedji. Źródłem niewyczerpanem jest działanie na małe ambicyjki ludzi miernych, lecz bogatych. Złupioną ofiarę zostawia się na pastwę drwin bliźnich.

Manuel Pedro Mazanas wziął sobie chyba za dewizę hasło: oszukujmy na wesoło. Urodzony w 1896 roku, w pięknej Andaluzji, od dziecka pozbawiony był opieki matki, zmarłej, gdy ujrzał świat. Ojciec jego był urzędnikiem. Początkowo studjował prawo, po paru jednak semestrach rzucił w kąt księgi i ruszył na podbój świata. Drobny incydent zatrzymał go w Salamance, na dziesięć miesięcy w więzieniu. Po odbyciu kary znalazł się w Paryżu i tu rozpoczyna karjerę. Nabyte doświadczenie, w atelier filmowych Berlina i Londynu, pomogły mu zorganizować wspaniały trick pseudo-filmowy.

Posterunkowy Riox miał właśnie skręcić w ulicę de Vaugirard, koło ogrodu Luxemburskiego, gdy nagle zauważył dwa ogromne samochody, pędzące z nadmierną szybkością. Obydwa zatrzymały się przed starym budynkiem i natychmiast zostały otoczone przez tłum gapiów. Tego było już za dużo dla dzielnego policjanta. Energicznie przepchnął się przez tłum i stanął nagle przed eleganckim panem, który z miłym uśmiechem podał mu wizytówkę, tłumacząc, że odbywa się właśnie nakręcanie sceny do filmu. Zarazem poprosił stróża bezpieczeństwa o udzielenie swej cennej pomocy przy usuwaniu intruzów. Riox zerknął na wizytówkę — znana powszechnie firma Gaumont — ależ, oczywiście, panie dyrektorze, jestem do usług. Jest to film kryminalny. W strzeszczeniu tak się sprawa przedstawia: Pewien, bardzo bogaty pan zostaje w drodze do swego biura napadnięty przez bandę opryszków. Po ograbieniu ofiary, bandyci uciekają i mimo energicznego pościgu nie zostają schwytani. Nakręcamy właśnie część pierwszą. Policjant przyglądał się, ogromnie zaciekawiony. Po drugiej stronie jezdni stało duże, czarne auto. Szoferowi zarzucono już rodzaj worka na głowę i mimo rozpaczliwej obrony, skrępowano. Na tylnem siedzeniu leżał siwowłosy pan, któremu jeden z aktorów knebłował usta, podczas gdy drugi przetrząsał kieszenie, wyrywając zarazem dużą skórzaną teczkę. Za czarnem stało szare auto. Szofer przyglądał się akcji, wybuchając co chwila głośnym śmiechem. Całość nakręcał stojący po drugiej strony ulicy operator, ze świstawką w ustach, bacznie od czasu do czasu badając niebo. Jak oni grają — pomyślał z uznaniem policjant — możnaby sądzić, że to rzeczywistość. — Tymczasem siwowłosemu panu udało się wyswobodzić ramię. Dostał jednak tak mocne uderzenie w żebra, że upadł na podłogę. — Nie uważa pan, jak nasi aktorzy doskonale grają? — powiedział rzekomy dyrektor. — Czyż nie wygląda to, jak prawdziwy dramat? Zresztą nie długo już kończymy, może będzie pan tak uprzejmy zrobić drogę, żeby tłum nie był na zdjęciach.

Uwięzionemu panu udało się wychylić z samochodu. Policjant pomógł mu wyjąć knebel. Ratunku, ratunku, bandyci, mordercy — trzymajcie łotrów! Pst, pst! Cicho, panie, już zdjęcia skończone. — Zdjęcia — zawył „aktor". — Jestem Maurycy F., współwłaściciel firmy G. et F. Pańskie zdjęcia kosztują mnie 800 tysięcy franków! Rozumiesz, człowieku, 800 tysięcy, które podniosłem z banku, a ci bandyci mi skradli! A pan, idjoto z bożej łaski, przyglądałeś się temu! — Biedny Riox zrobił się zielony. Tłum szalał z uciechy.

Przez Lucernę, Wiedeń, Berlin — Mazanas wypływa w Skandynawji. Tu wykonuje drugi kawał, bodaj lepszy od poprzedniego.

Dzięki układności i dobrym manjerom zostaje w pewnem mieście przyjęty do klubu. Po jakimś czasie dowiaduje się miejscowej ploteczki: Syn bogatego przemysłowca, Jan Tomosoni, panicznie obawia się zostać filistrem. Łamiąc sobie głowę nad wynalezieniem odpowiedniego zajęcia, po wielu trudach zostaje wreszcie honorowym konsulem jakiejś groteskowej republiczki w Ameryce Południowej. Jest niesłychanie dumny z nominacji i zadowolony, że uniknął nazwy próżniaka. Nic go nie obchodzi, że w międzyczasie jego republika przechodzi ostry kryzys. Dotychczasowy prezydent, były włamywacz irlandzki, zostaje przez jakiegoś patrjotę w jasny dzień na ulicy pchnięty nożem. O przeszłości nowego prezydenta nie wiadomo nic pewnego. Rządy zaczął od wystrzelania wszystkich dotychczasowych ministrów, w tem i ministra skarbu, którego szalbierstwa nawet mu trochę imponowały. Wiadomem było, że nowy prezydent występuje pod metrowem nazwiskiem, co oczywista jest dowodem wysokiego rodu. Wiadomości te nie były jednak podane w gazetkach skandynawskich, a gdyby nawet — to wątpliwą jest rzeczą, czyby nowy konsul zwrócił na nie uwagę. Wizyta u drukarza — ot i wszystko...

*

Pan konsul Tomosini, siedząc za wielkiem biurem, oddaje się z zapałem ekscytującej lekturze z „Le Rire". Wchodzącemu lokajowi rzuca wściekłe spojrzenie, aż nagle, przeczytawszy nazwisko, skacze, jakby go żmija ukąsiła. Oczom własnym nie wierzy — czyta raz jeszcze:

Don José Tadiosquez di Caraposo
y Polcaplunta
San Virgo Riscuhola Tanacaholo

Na Boga, toż to nazwisko nowego prezydenta jego republiki! Ukłonom, komplimentom, nie ma końca. Z ust przybysza płynie istny potok słów francuskich, hiszpańskich, niemieckich. Konsul jednak orjentuje się, że ma przed sobą starszego syna prezydenta, który wybrał się w podróż po Europie i korzysta z okazji, żeby osobiście poznać dzielnego konsula, o którego nadzwyczajnych zasługach słyszał w ministerjum. Jan jest oszołomiony. Na cześć dostojnego gościa postanawia wydać wspaniały bankiet na który zaprasza kwiat złotej młodzieży. Dwie orkiestry — murzyńska i włoska, przygrywają ucztującym. Z powagą wygłasza wielką mowę polityczną. Zebrani uśmiechają się ironicznie, syn prezydenta trwa z jednakowym przymilnym uśmiechem. Światło lamp złotemi iskrami odbija od jego fenomenalnej, dużej gwiazdy. Piękny to był wieczór! Miejscowe gazetki zajęły się egzotycznym gościem. Niejednokrotnie wymieniano przytem konsula Tomosoniego, który, jadąc swym ślicznym samochodem, zdawał się słyszeć, jak tłum z szacunkiem wymawia jego nazwisko.

Wieczorem, gawędząc przy kawce, dostojnik powiadamia konsula o swym rychłym wyjeździe. Biedny Tomosoni nie może już wytrzymać. Kołując, nieśmiało wyraża swe pragnienie posiadania gwiazdy. — Por dios, senor, santa virgen y todos santos! — Trudna to sprawa — odrzekł don Josè. — Według statutu posiadać mogą książęta krwi, marszałkowie lub członkowie rządu. Czego się jednak nie robi dla przyjaciół! Mam myśl. Matka moja, donna Izabela Coruna, opiekuje się zakładem dla byłych więźniów. Egzystencja tej instytucji, utrzymującej się z dobroczynności, leży jej bardzo na sercu. Sądzę zatem, że pewna ofiara tak znakomitego przedstawiciela naszego rządu byłaby mile widziana. Niech pan, senor, posłucha mojej rady, a gwiazda San Canacafurja wkrótce zabłyśnie na jego piersi. Jan był oczarowany. Ile, sądzi pan? — zapytał roztropnie. Don Josè machnął niedbale ręką. Te sprawy przecież nie należą do niego. W każdym razie, bacząc na zamożność petenta, coś koło dwudziestu tysięcy koron. Tomosoni napisał czek na dwadzieścia pięć tysięcy. Syn prezydenta ofiarował się, w dowód wielkiej przyjaźni, osobiście doręczyć czek. Wieczorem odbyła się wielka feta pożegnalna. Szampan lał się, jak woda. W pewnym momencie don José wyszedł... na chwilę. Nie upłynęło pięciu minut, jak na salę wszedł komisarz policji, szukając oszusta. Piorun z jasnego nieba nie zrobiłby większego wrażenia. Po chwilowej konsternacji zebrani wybuchnęli gromkim śmiechem. Jeden Tomosoni siedział smutny. Nie żałował pieniędzy, ale gwiazda! gwiazda przepadła bezpowrotnie.

specjalnej uwadze polecamy

NA ŚWIĘTA WIELKANOCNE

BOGUSŁAW HERSE

SUKNIE

DZIENNE WEŁNIANE TWEED zł 78.
WEŁNIANE FLAMENGO „ 115.
WIZYTOWE JEDWABNE „ 135.
WIZYTOWE GEORGETTE „ 175.

PŁASZCZE

TWEED CAŁE NA PODSZEWCE zł 195
Z MODNYCH MATERJAŁÓW BIELSKICH NAJWYŻSZ. GAT. „ 225

KOSTJUMY

TWEED NA JEDWABNEJ PODSZ. zł 225
Z MODNYCH KAMGARNÓW BIELSKICH NAJWYŻSZ. GAT. „ 275

KAPELUSZE

SŁOMKOWE SIZOL zł 15.
BACOU „ 18.
PANAMA LAQUÉ „ 20.

BLUZKI

POPELINOWE FASONY ANGIELSKIE zł 16.50
JEDWABNE „ 33.
GEORGETTE LUB METEOR STROJNE „ 49.50.

DZIECINNE

SUKNIE-UBRANKA
PALTA-KAPELUSZE

BIELIZNĘ

KOSZULE DZIENNE HAFT TOLEDO zł 4.90.
NANSUKOWE „ 6.75.
OPALOWE „ 9.50.
COMBINAISONS TOILE DE SOIE z HAFTEM „ 18.50.
METEOR z HAFT. „ 25.

KOSZULE NOCNE MADAPOLAM. zł 8.25.
NANSUKOWE „ 11.75.
OPALOWE „ 15.80.
TOILE DE SOIE „ 29.
PIŻAMY Z PIĘKNEJ POPELINY zł 29.

TRYKOTAŻE

TENISÓWKI JEDWABNE od zł 9.50.
PULOWERY „ „ 13.
KAMIZELKI „ „ 16.50

POŃCZOCHY

FLOR PIĘKNY GATUNEK zł. 3.90.
JEDWABNE „ 3.50.
JEDWABNE WASCHSEIDE „ 4.75.
LUKSUSOWE CIENKIE „ 11.50.
Z AŻUROWĄ STRZAŁKĄ

STOŁOWIZNĘ

OBRUSY BIAŁE NA 6 osób zł 7.90.
„ KOLOR. „ „ „ 8.60.
GARNITURY KOLOR. CZESKIE zł 26.
BIAŁE LNIANE „ 39.75.
JEDWABNE „ 59.-

RĘKAWICZKI

IMITACJA DUŃSKICH zł. 2.75
SKÓRKOWE NAPPA „ 8.25
ZAMSZOWE DO PRANIA „ 16.80

JADWIGA KIEWNARSKA.

List z Paryża

Interes jest interesem

Była to bardzo miła para. Dość typowe, w średniozamożnej paryskiej burżuazji, małżeństwo. Oboje już niemłodzi.

Ona, pielęgnująca starannie, choć bez widocznych pretensyj, ślady niepospolitej urody. Ładnie siwa, czarnooka, odsłaniająca w uprzejmym, kupieckim uśmiechu, nieznacznie ukarminowanych ust, zdrowe, białe zęby.

On, trochę, zdaje się, pantoflarz, zdeformowany cokolwiek przez artretyzm, cenę, którą z wiekiem płacą wszyscy niemal starsi francuzi, za nieoględne korzystanie ze swych wybornych i tak bajecznie tanich win. Łysawy, pocięty czerwonemi żyłkami sklerozy, ale wcale jeszcze przyjemny. Wersalsko uprzejmy dla klijenteli, często przyprawiający odważaną przez siebie sałatkę z homara, zupełnie pierwszorzędnym dowcipem.

Z prawdziwą przyjemnością wstępowałam do tego czyściutkiego i przytulnego, jak rodzinne mieszkanie, sklepiku, po sardynki i kraby w puszkach, po aperitif'y i zawsze świeży sos majonezowy. Sympatyczne małżeństwo, od pierwszej mojej w ich sklepie bytności, uważało mnie za starą znajomą, niemal przyjaciółkę. Interesowali się i tem, skąd przyjechałam, i gdzie mieszkam, i czy długo w Paryżu zabawię, i jak mi się tu wogóle podoba?



Najmniejszy sprawunek, porcja śledzia w oliwie za półtora franka, zostawała opakowana w elegancki kartonik i wydawana z największą życzliwością i w poważnem skupieniu. Nie mogło być mowy o lekceważeniu, lub choćby cieniu nonszalancji czy niechęci fatygowania się dla takiej błahej sprawy i drobnej sumy. Znać było, że klijentka, choćby tak mało dochodowa, jest dla nich osobą nader cenną i ważną: może przecie powrócić innym razem i z większym obstalunkiem.

Nigdy, na odchodnem, nie zapominali zapytać, czy z pewnością nie potrzeba mi na razie nic więcej, polecić się łaskawym względom nadal i wyliczyć wszystkich dobrych rzeczy jakie będą mieli w swoim sklepie w ciągu dni najbliższych.

— Mamy wyborne wina, może pani nam wierzyć: nous en buvons tous les jours. Nasze konserwy są niezawodnie świeże, sami je jadamy. Pasztet robi się codzień rano, do wieczora nic nie zostaje. Jutro będziemy mieli świeże kokilki z ryby, zapieczone pod beszamelem i gotowane krewetki. A gdyby madame spodziewała się kiedy gości, to prosimy pamiętać, że możemy przygotować ładnie udekorowaną tacę przekąsek i petitfour'y w eleganckich papilotach. Policzymy niedrogo, proszę się nie obawiać. Ma się przecież sumienie. N'est ce pas ma vieille?

Tu małżonkowie zamieniali głębokie i wierne spojrzenia, w których stało wypisane wielkiemi literami: — A iż cię w tym handlu nie opuszczę, aż do śmierci.

Nie raz dostawałam na pożegnanie maleńki bukiecik bratków, lub fijołków, jako premjum i zachętę do dalszych odwiedzin.

Wolałam robić zakupy tu, niż gdzieindziej, nietylko ze względu na fijołki i uprzejmość, ale przedewszystkiem z powodu panującej tu atmosfery solidności handlowej w najlepszem tego słowa znaczeniu, dobrze zrozumianego interesu i budującej solidarności małżeńskiej. O każdej porze dnia zastawało się tych dwoje na posterunku, uśmiechniętych, nierozłącznych i wyręczających się wzajemnie.

W paskudnie dżdżysty, iście paryski poranek, wracałam do hotelu wyciągniętym kłusem, mokra i zziębnięta. Nagle zatrzymał mnie usłyszany cichy okrzyk, lub raczej głosne westchnienie:

— Madame, madame!

Odwracam się i widzę moją sympatyczną, siwowłosą kupcową, trzęsącą się pod parasolem, z zimna, czy innej jakiejś przyczyny.

— Oh, madame' madame! Czy pani wie, że mój biedny mąż nie żyje?

Robi mi się okropnie przykro. I dlatego, że jest mi naprawdę żal zmarłego, zacnego Filemona i jego osieroconej Baucidy... I dlatego także, że nie mam żadnych zdolności do składania kondolencyj. Zawsze mi się zdaje, że najszczersze współczucie osoby obcej jest dla tych, co stracili kogoś najdroższego, czemś tak niezmiernie małoważnem i nieistotnem, że nie warto się z tem wogóle wyrywać. A w dodatku jestem tak zupełnie zaskoczona.

— Jakto? Mąż pani nie żyje?... Przecież jeszcze wczoraj, to jest przedwczoraj, widziałam go w sklepie? — Zagaduję z głupia frant, przypominając sobie po niewczasie, że właściwie wczoraj odważała mi majonez antypatyczna i mało rozgarnięta pannica, w niczem nie podobna do swej uprzedzająco uprzejmej i dotąd uroczej, matki.

— Eh, oui, madame! Pozawczoraj żył jeszcze i wydawał się zupełnie zdrowy. I naraz atak i śmierć. Tak nagle! Tak zupełnie, zupełnie niespodzianie...

Piękne, czarne oczy szklą się od łez, których już powstrzymać nie sposób. Parasol, trzymany w drżącej ręce, opisuje przedziwne elipsy. Deszcz leje, jak z cebra. Trudno w podobnych warunkach wysłuchiwać czyichś żalów. Nieboszczyk już nie zmartwychwstanie, a ja mogę się nabawić kataru.

— Droga, droga pani! Jest mi pani niezmiernie żal. Rozumiem, że zwalił się na panią cios niezasłużenie okrutny i... i proszę przyjąć najserdeczniejsze wyrazy gorącego współczucia.

Chcę wiać.

— Oh, merci! Dziękuję pani za dobre słowo. Sądzę, że nieraz jeszcze zobaczę panią w moim sklepie, nieprawdaż? Pani chyba rozumie, że teraz bardziej, niż kiedykolwiek, zależy mi na klijenteli; mam pięcioro dzieci...

Zastałam ją nazajutrz na posterunku. Była w czerni, cokolwiek przybladła, nieskazitelnie zaondulowana i już zawodowo uśmiechnięta.

Ha, trudno: interes jest interesem. C'est la vie, madame! C'est la vie!

Czas odnowić prenumeratę na kwartał II-gi

Z sali odczytowej

„Bunt czy koleżeństwo", odczyt, wygłoszony przez p. Irenę Solską, w T-wie Higjenicznem w Warszawie.

Łączenie talentu scenicznego z darem głoszenia nowych kierunków i haseł w wychowawstwie — to osobliwe wydarzenie w naszem życiu kulturalnem. Tego rodzaju atrakcję stanowił już drugi odczyt naszej artystki dramatycznej, p. Ireny Solskiej, wygłoszony w dniu 20 marca, w sali Tow. Higjenicznego.

Nawiązując w pełnych szczerego wzruszenia słowach swe przemówienie znakomita artystka usiłuje zespolić się z audytorjum przez stworzenie osobliwego nastroju, i pełnego powagi upomnienia, że to „chodzi o Nowego Człowieka!!"

Punktem wyjścia prelekcji stanowiło jedno z najbardziej palących zagadnień ostatniej doby: kwestja seksualna w życiu młodzieży szkolnej.

W tym maleńkim, wschodzącym światku naszej latorośli, dzieje się dużo więcej, aniżeli się to z jego pozorów wydaje.

Prelegentka dzieliła się wrażeniami, jakie odniosła z przeczytania słynnej już dziś książki Ben B. Lindseya, wielkiego znawcy duszy dziecięcej, znakomitego amerykańskiego sędziego, pełniącego urząd dla nieletnich. To, co w książce swej autor powiedział, nie jest li tylko wynikiem odbytych studjów uczonego w czterech ścianach gabinetu, a zebranym pulsującym materjałem z życia, w które wnikał jako sędzia i któremu usiłuje nieść pomoc.

Problem obcowania seksualnego wśród młodzieży szkolnej domaga się rozwiązania, mówi Lindsey. Minął ten czas, kiedy zbywano go milczeniem i przypisywano mu wagę czegoś, co pozwala się jeszcze pozostwić na marginesie. Już w okresie wojny spojrzeliśmy tej prawdzie w oczy. Większość młodzieży amerykańskiej obojga płci systematycznie zrywa z dotychczasowemi pojęciami o moralności. Dziewczęta, które niedawno trzymały się od tego zdaleka, buntują się przeciwko niesprawiedliwości i domagają się równych praw z mężczyzną do „wyżycia się". Taki stan rzeczy nakłada na rodziców i opiekunów obowiązek czuwania i uświadamiania w porę młodzieży, celem uchronienia jej w owych poczynaniach od niepożądanych i niebezpiecznych nieraz skutków, jak to notuje wielokrotnie kronika lekarska i sądowa. Prelegentka transponuje niejako poglądy autora, podając przez pryzmat własnego ducha cenne uwagi, które budzą refleksje co do słuszności i potrzeby poczynienia podobnych obserwacyj i u nas, biorąc jakgdyby na siebie misję popularyzatorki ich w jaknajszlachetniejszym stylu.

Cały szereg zacytowanych faktów, jakie notuje autor w swej książce, faktów autentycznych, oraz liczne uwagi prelegentki z poczynionych własnych doświadczeń w dziedzinie wychowawstwa u nas, potwierdzają słuszność nawoływań o potrzebę głębszego wejrzenia w tę osobliwie kłopotliwą sytuację.

Nadewszystko jednak, dostosowanie się osób, powołanych do wychowywania przyszłych pokoleń, domaga się zmiany, mówi Lindsey, wyrażając nadzieję, że przy dobrej woli nastąpi zrozumienie tych, tak często dwu światów, ojców i dzieci, opiekunów i wychowawców, co z czasem przyczyni się do zmniejszenia ilości przekroczeń i do tego, że sądy dla nieletnich będą zbyteczne.

Głęboki wyraz poczucia humanitarnego, jakiego dała w swym odczycie prelegentka, może umocnić jej jeszcze zasłużoną sobie sympatję publiczności, która wielokrotnie podziwiała znakomitą artystkę. To też zebrane na sali audytorjum żegnało z wdzięcznością prelegentkę długotrwałemi oklaskami.

B. Kersten.

Wśród książek

Adam Czartkowski — Księżna Łowicka — Portret biograficzny — Wydawnictwo polskie R. Wegnera — Poznań, 1931.

Postać księżny łowickiej przeszła do historji w spaczonej formie, która posmak romantyczny pogłębiał z biegiem lat, tworząc fałszywą legendę. Joannę Grudzińską, małżonkę W. Ks. Konstantego, którego postać również urosła do niezgodnych z prawdą proporcyj, uważano za naiwną i romantyczną panienkę, którą do takiego stopnia olśnił zaszczyt zostania Wielką Księżną, iż zapomniała nawet o tradycjach i obowiązkach Polki, jaką była z krwi i kości. Imaginowano sobie, że przy boku satrapy morganatyczna małżonka musiała być narażona na wiele przykrości, podobnie niemal, jakby była tylko kochanicą.

Adam Czartkowski wyprowadza nas z błędu. Cierpliwe jego badania, oparte na wyczerpujących źródłach z archiwów i z literatury pamiętnikarskiej, doprowadziły do oświetlenia postaci księżny łowickiej w sposób sprawiedliwy. Życie jej, obfitujące pod koniec w tragiczne i wielce bolesne momenty, zeszło — jak konkluduje autor — „na spełnianiu obowiązków i że spełniła je w stosunku do Boga, do matki i do męża, zasłużyła też sobie niewątpliwie na miano dobrej córki i dobrej żony. Przeszła przez życie, nie zboczywszy z zakreślonej sobie drogi i nie poślizgnąwszy się na niej, pomimo, iż warunki, w których rosła, rozwijała się i żyła, nie zawsze ją od tego broniły".

Boć istotnie — nie mówiąc o wyjściu za mąż za Rosjanina, co nie było wówczas poczytywane za taką niestosowność, jak w późniejszych latach — Joanna Grudzińska, w chwili wybuchu powstania listopadowego przeżyła jako Polka niezwykle ciężkie chwile, nic jednak nie splamiło pamięci o niej, wiernej towarzyszce doli i niedoli małżonka, wiernej aż do śmierci, po której i ona niebawem umarła (dziwnym zbiegiem okoliczności w rocznicę wybuchu powstania i zdobycia Belwederu).

Dzieło A. Czartkowskiego wydane w starannej formie i zaopatrzone wieloma nieznanemi reprodukcjami portretów, winno zainteresować najszersze sfery Czytelników, zwłaszcza, że napisane jest przystępnie i dotyczy wszak jednej z najciekawszych postaci minionej epoki.

Vicki Baum. Studentka. Wydawn. Alfa — Warszawa, 1931.

Vicki Baum jest ulubioną autorką szerokich rzesz czytelników niemieckich. Rzeczy tej autorki traktowane są niezwykle śmiało, lecz zawsze w przystępnej i pociągającej formie, i dlatego zdobywają serce ludzkie bez najmniejszego trudu, choć często, jak n. p. w wypadku „Studentki" (tytuł w oryginale brzmi: „Stud. Chem. Helene Willfüer") poruszają bardzo poważne zagadnienia.

„Studentka" iest pierwszą z powieści Vicki Baum, która trafiła na nasz rynek w polskim przekładzie. Poprzedził ją film, który na jesieni ub. r. cieszył się niemałem powodzeniem, uprzedzamy wszelako, iż podobnie jak w większości wypadków transkrypcyj powieści na ekran, poczyniono w „Studentce" wiele niekorzystnych zmian. Komukolwiek więc podobał się film — powinien tembardziej przeczytać powieść.

W „Studentce" autor porusza temat drażliwy zagadnień seksuologicznych i macierzyństwa„ którym zarówno publicyści, jak i powieściopisarze oraz dramaturgowie poświęcają ostatnio wiele miejsca, przebijając drogę dla nowych, humanitarnych poglądów na sprawę. Zwycięstwo osiągnięte zostało na całej linji. Prawodawcy poczynili wiele pożytecznych reform pod wpływem tej krucjaty, której z początku przypisywano złośliwie intencję budzenia li tylko sensacji. Doskonale poradziła sobie Vicki Baum z tym tematem. Wprowadza nas, jak łatwo domyśleć się z tytułu, do środowiska młodzieży uniwersyteckiej, która, pozostawiona sama sobie i żyjąc w warunkach tak łatwo dopuszczających przejście od koleżeństwa do erotyki, narażona jest w tym względzie na szereg niebezpieczeństw, mogących spaczyć życie ludzkie, w zaraniu formowania charakterów. To też, ze szczerą sympatją, śledzimy walkę, jaką toczy o prawo do życia bohaterka powieści, Helena Willfüer, istota obdarzona niezwykłą siłą woli, która jej pozwala zwycięsko przebrnąć przez mnóstwo trudności, piętrzących się na jej drodze.

OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁ LEON CHEJFEC

Powieść „Studentka" najeżona jest, być może, wieloma szczegółami naukowemi, terminologją medyczno-chemiczną — lecz bez tego tło straciłoby bezwzględnie na realiźmie.

I to jest właśnie zasługą autorki, iż z taką łatwością potrafi wybrnąć z trudnego zadania, gdyż powieść czyta się jednym tchem, z niesłabnącem od początku do końca zainteresowaniem.

Powodzenie „Studentki" zachęci z pewnością naszych wydawców do zapoznania Czytelników z szeregiem innych, nie mniej interesujących utworów Vicki Baum.

Tryumf Chaplina na kontynencie

Z kuglarzami ich ongiś równano — aktorów, poklaski im dając — czemu nie? — lecz, traktując z wysoka, z pańska. I chociaż dawno minęły te czasy, a demokracja wszelką pańskość wypleniła z umysłów — zdarza się, tu i ówdzie, że jeden, drugi karmazyn (!) popatrzy na cię protekcjonalnie i raczy obdarzyć uśmiechem, gdy uda się go rozweselić. Lecz dalej już — ani kroku, no, a jeślić chodzi o kuglarza, którego obowiązkiem jest bawić bliźniego — mowy być nie może o entuzjazmie — kuglarzem wszak jest, i basta!

W ten sposób mniej więcej zareagowano w niektórych kołach na niebywały tryumf Chaplina na kontynencie. Fi donc — aktorzynie taki hołd, niczem monarsze!

— Reklamjarz! — wołają poniektórzy. — Marny reklamjarz, który sprytnej reżyserji zawdzięcza taki sukces, dążąc w samej rzeczy do jak najkorzystniejszego spieniężenia swego filmu!

Śmieszne, przedpotopowe typy! Ludzie, którzy po dziś dzień nie zdają sobie sprawy z doniosłości X-ej muzy w dziejach kultury!

Na całe szczęście ludzi takich jest niewielu — a wszędzie, gdzie tylko zjawi się Chaplin, hołd składają genjalnemu artyście powszechny, począwszy od kół najwyższej elity, a kończąc na szerokich masach ludu.

*

Z pobytu Chaplina w Europie zanotowano już mnóstwo anegdot.

Oto opowiadają, naprzykład, że gdy przybył na Quai d'Orsay z wizytą do Brianda—służący, wzruszony jego widokiem, popełnił zabawną gaffę, meldując z całą powagą: *Monsieur Charlot!...*

Stokroć milsze będzie Chaplinowi to przyjęcie, niźli inne, które mu zgotował książę Westminsteru, zapraszając wielkiego artystę na paradne polowanie do Saint-Saens. Bo chociaż bawiło go z początku wszystko, co ujrzał i śmiał się z roli, którą mu narzucono, zmuszając do przywdziania klasycznego rajtroka czerwonego i uganiania się konno za zwierzem — po paru godzinach czuł się tak rozbity, iż wolał narazić swą sławę nemroda i, porzuciwszy rumaka na zielonej łączce, sam zaszył się dyskretnie w jednym z samochodów, aby chrapnąć po tylu trudach.



Karykatura Charlie Chaplina wg. Cabrola.



Scena z ostatniego obrazu Charlie Chaplina p. t. „City Lights".

— Okrutnie obchodzą sę ze mną — zwierzył się w następstwie jednemu z dziennikarzy. — Cóż zrobiłem tym ludziom, że wymyślili dla mnie taką zabawę? Anim zwierza nie widział, ani też nie bawiło mnie hasanie po błoniach, gdyż koń i bezpieczeństwo jazdy zbyt absorbowały moją uwagę. Polowanie — to szatański wymysł!

Bo Chaplin w Europie sam czuje się chwilami jak zwierz, chroniący się przed napaścią tłumów, które nie dają mu sekundy wytchnienia. Celem zabezpieczenia się musiał uciec się do następującego tricku, który dotychczas jeszcze nie zawiódł: oto przed hotel zajeżdża skromny samochód, za każdym razem inny; w ostatniej chwili nieodłączny szofer-japończyk zasiada przy kierownicy, poczem wychodzi dwóch olbrzymów, zakrywając drobną postać Chaplina, zakutanego w obszerny płaszcz z podniesionym kołnierzem; artysta wskakuje do wozu, który momentalnie odjeżdża... Sposób do opatentowania!

„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE — I WILNIE.

Prenumerata krajowa wraz z przesyłką: kwartalna: 5.50; półroczna 10.50, roczna 20 zł. Prenumerata zagraniczna: kwartalnie 8 zł., półrocznie 15.50 zł., rocznie 30 zł. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałkowska 99. Tel. 525-85. Konto PKO 19-447. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI. Wydawca: „PRASA ILUSTROWANA" S-ka z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 717-98 i 504-46.